

WARSZAWA W OGNIU - 44

Sulimir Stanisław Żuk



„Zanim padłeś, jeszcze ziemię pożegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku? Czy to serce pękło?”

K. Baczyński

Sulimir Stanisław Żuk

Warszawa w ogniu - 44

Powstanie Warszawskie na mojej drodze życia

*Niniejsze opowiadanie będę przeplatał
wspomnieniami z wcześniejszych przeżyć.
Mam nadzieję że czytelnik mi wybaczy.
Przeżycia te istotnie zaważyły
na moich późniejszych losach.*

Informacje o okładkach.

Str. 1

Pomnik małego powstańca stojący na miejscu honorowym przy murze obronnym na starym mieście w Warszawie. Autorstwa Jerzego Jarnuszkiewicza, który honorowo oddał swój projekt inicjatorom tego pomnika, harcerzom Chorągwi Warszawskiej. Postać małego, uzbrojonego chłopca ufundowana została ze składek społecznych w hołdzie młodzieży Warszawy walczącej w Powstaniu.

Str. 4

Informacja o autorze.



Wydawca i autor
Sulimir Stanisław Żuk

Wydanie drugie rozszerzone i uzupełnione
Wydano nakładem autora
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN-978-83-924746-1-7

Projekt i druk: www.asd-drukarnia.pl

Motto

Kto przeżył powstanie Warszawskie - 44 i umie obserwować - ten wie, jaką potęgą są wzorce historyczne... Kto miał kontakt z młodzieżą „Szarych Szeregów”, kto widział te oczy szczęśliwe pełne dumy z kontynuacji wielkich legendarnych tradycji – ten nie zapomni ich nigdy...

Witold Kula Rozważania o Historii...

Wypędzenie

Jasna księżycowa noc. Gładka biel śniegu sprawia wrażenie, jakby otaczało nas spokojne lśniące morze. Księżyc płynie po niebie i zagląda we wszystkie zakamarki przyrody. Iskrzące się gwiazdy na czarnym niebie mrugają i mówią nam, że nie jesteśmy sami. Gdzieś tam bezkresnie daleko może też ktoś patrzy na nas? Któż potrafi opisać słowem ten cudowny urok zimowej nocy na Podolu. Chyba tylko taki wielki poeta, jak ten który urodził się nad Ikwą. Ale jego już nie ma, już nic nie napisze.

Stanowisko na dachu pozwala mi obserwować okolicę wokół naszego domu. Było to konieczne, aby wiedzieć, czy ktoś nie pożądanym nie zbliża się do nas. Horyzont pokrywają łagodne góry Woroniaków. Za nimi, pomiędzy

nimi i przed nimi, jaśnieją czerwone łuny pożarów. Palą się polskie domy i wsie. Każda łuna i pożar to przecież czyjeś nieszczęście, czyjeś łzy, czyjś ból, czyjaś męczeńska okrutna śmierć. Ludobójstwo faszystowskich bandytów spod znaku UPA nie zna granic okrucieństwa. Polacy giną w straszliwych męczarniach. Z daleka słychać głębokie dudnienie ciężkich dział, to zbliża się front wschodni, nadchodzi znowu czerwona zbrodnicza nawała. Jest pierwsza połowa marca 1944 ale mróz trzyma jeszcze mocno.

Nasz dom jak twierdza¹, przygotowany do obrony. Opancerzone lub zamurowane drzwi. Okna zabite deskami. Broń ukryta w wielu schowkach w każdej chwili gotowa do użycia. Okoliczne bojówki UPA wiedziały o tym i nie śpieszyły się z atakiem na nas. Jednak większych sił i zdecydowanego oblężenia nie wytrzymałybyśmy długo.

W pewnym momencie zauważyłem na lśniąącym śniegu biegnącą postać. Przewracała się, wstawiała i brnęła dalej. Zapadała się w głębokim śniegu, ale pracowicie podnosiła się i biegła w naszym kierunku. Jeśli ktoś do nas przychodził w tak ciężką zimę, to tylko w dzień, a nie w nocy. Napad w pojedynkę to nie możliwe, może jakiś zwiadowca. Zbiegłem na dół, obu-

1. Patrz str. 159.

dzilem wszystkich zgodnie z obowiązującym regulaminem. Wszyscy na stanowiska obronne. Psy podniosły alarm. Do jedynych drzwi, które były możliwe do otwierania rozległ się łomot. Ojciec otworzył. Z kłębami pary i w śniegu wpadła do wnętrza nasza znajoma, przyjaciółka mojej mamy Ukrainka Olga Semczuk. Zmęczona i zziębnięta nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Po chwili, po kilku głębokich oddechach i łyku wody zaczęła nieskładnie bełkotać i krzyczeć, płacząc wyrazy polskie i ukraińskie.

- Uciekajcie. Szybko już teraz jutro. Wydano na was wyrok śmierci. Nie przeżyjecie do niedzieli. Przyjdą w nocy was zamordować. Uciekajcie! Uciekajcie! Uciekajcie!

Głos jej drżał i załamywał się. Była przerażona. Ręce się trzęsły, wytrzeszczone oczy błyszczały ze strachu. Łzy płynęły po policzkach. Wiedzieliśmy, że nie jest to pogróżka. Jest to ważne ostrzeżenie. Przekazując je nam ryzykowała życiem. W pierwszym momencie staliśmy w bezruchu. Po chwili mama zaczęła ją uspokajać. Chciała jej dać coś gorącego do napicia się, żeby usiadła i odpoczęła. Nie chciała nic słuchać.

- Muszę wracać. Już, natychmiast. Jeśli zauważą że tu przyszedłem zabijają mnie. Poprawiła chustę zacisnęła pas na kożuchu. Tak szybko jak przyszedłem, tak szybko ruszyła z powrotem.

Oczywiście tej nocy już nikt z nas nie spał. Rozpoczęła się gorączkowa narada. Pomimo niebezpieczeństw ojciec był przeciwny wyjazdowi. Powinniśmy tu zostać na naszej ziemi i jej nie opuszczać. Uważał, że mama powinna wyjechać z dziećmi do miasta powiatowego Brodów, tam jest bezpieczniej, a on tutaj zostanie i będzie pilnował Urszulina. Wiadomo było, że w razie napadu sam się nie obroni. Mama jednak podjęła odważną decyzję. Nie zostaję w żadnych Brodach. Jedziemy do Warszawy. Ojciec już nie protestował. Widziałem jak trudna i ważna była to dla niego decyzja. Zostawić z dnia na dzień, tutaj wszystko, co zbudował. Cały dorobek swojego życia. Ziemię, zagospodarowany dom, ogromny sad, ogród, pasiekę, hodowane zwierzęta, fermę jedwabników, całe wyposażenie? Rozsądek jednak nakazywał ucieczkę i ratowanie tego co najcenniejsze, życia. Przecież w Boże Narodzenie wymordowano naszych sąsiadów, kilkanaście osób. W lutym Spalono zaścianek szlachecki Hucisko Brodzkie, zamordowano tam około 50 osób. Pod koniec lutego w ciągu jednego dnia wymordowano ponad tysiąc osób w Hucie Pieniackiej. W tym rodziców mojej mamy i naszych krewnych, spalono 172 gospodarstwa. Po dotarciu do nas tej strasznej wiadomości, bez wiedzy rodziców, nad ranem poszedłem na piechotę do Huty Pieniackiej,

aby przekonać się czy jest to prawda. To co zobaczyłem przeszło moje najstraszniejsze oczekiwania. Domy i zabudowania jeszcze się tliły. Wiatr niósł zapach spalonych ciał w chatach i stodołach. Na miejscu domu moich dziadków sterczały w niebo dwa osmalone kominy. Nie było domu nie było zabudowań gospodarczych. Nie mogłem wejść na teren posesji, gdyż bandyci rabowali to co jeszcze pozostało. Spotkanie z nimi równało się wyrokowi śmierci. Na początku marca w Podkamieniu wymordowano ponad czterystu Polaków. Tydzień temu w Palikrowach zamordowano kilkuset Polaków i spalono ich gospodarstwa. Wszystko to działo się w odległości kilku lub kilkunastu kilometrów od nas. Więc na co było czekać? Chyba tylko na okrutną śmierć. Należało ratować życie.

Front wschodni zbliżał się z godziny na godzinę. Było już coraz głośniejsze słyszeć głębokie dudnienie frontowych dział. Armia komunistycznego reżimu mogła zjawić się w każdej chwili. Ukraińcy szaleli w amoku mordowania Polaków. Spieszyli się, wiedzieli, że władza sowiecka krwawo się z nimi rozprawi za współpracę z Niemcami.

Przygotowania do naszego wyjazdu trwały bardzo krótko. Każdy dzień, każda godzina mogły kosztować życie. Na następny dzień

zostało zamówionych dwoje sań.

Ojciec miał zamiar skontaktować się z organizacją samoobrony w Brodach w celu przekazania jej całego uzbrojenia, jakie posiadaliśmy. Dwa worki z bronią i amunicją ukryto na dnie sań. Plan był taki, że gdyby po drodze do Brodów napadli na nas Ukraińcy, będziemy się bronić. Każdy z powożących sańmi był członkiem samoobrony dobrze przeszkolonym w posługiwaniu się bronią. Natomiast zabieranie jej w dalszą drogę było wysoce niebezpieczne, a tutaj broń była niezwykle potrzebna.

Nie wiemy w jaki sposób okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się, że wyjeżdżamy. Rano dom był pełen ludzi. Przyszli Polacy i Ukraińcy, ludzie nam bliscy, ale również tacy, których prawie nie znaliśmy, niby się pożegnać. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym źle oceniał wszystkich. Celem wizyty niektórych naprawdę było pożegnanie. Wiele cennych rzeczy rodzice rozdali przyjaciołom i znajomym. Niemniej rabowanie naszego mienia zaczęło się jeszcze przed naszym wyjazdem. Pakowaliśmy się w pośpiechu. Zabieraliśmy głównie żywność i trochę ubrań. W pewnym momencie położyłem obok siebie prawie już wypełnioną walizkę. Sięgnąłem do szafy, żeby wyjąć kolejne rzeczy, a gdy odwróciłem się znowu, walizki wraz z zawartością już nie było. Potem dowiedzieliśmy

się, że na drugi dzień całe nasze gospodarstwo zostało doszczętnie obrabowane. Powyrywano wszystkie drzwi i okna, zerwano podłogi.

Sanie ruszyły 16 marca 1944 roku w południe. Śnieg był jeszcze duży, ale zbliżała się odwilż, mróz zelżał. Ruszaliśmy w nieznane. Serce ścisnął żal, łzy napływały do oczu, nie mogliśmy ich powstrzymać. Moja siostra Jola była za malutka, aby dobrze rozumieć, co się dzieje, niemniej zanosila się płaczem. Nastrój rozpaczyny ogarniał nas wszystkich. Zostawialiśmy dorobek całej naszej rodziny i nie wiedzieliśmy, czy dożyjemy jutra. Nie zapomnę widoku, kiedy dotarliśmy już do figury Matki Boskiej przed Wołochami na drodze do Ponikwy i sylwetka naszego domu zaczęła znikać za wzgórzem. Mama, płacząc, przeżegnała się. W bezsilnym smutku pomyślałem sobie: czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę nasz dom? Dom zbudowany z takim trudem, w którym spędziliśmy dwa lata szczęśliwego życia oraz pięć lat straszliwych trudów wojny i ludobójstwa, zgotowanego przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN-UPA. Wyroki Historii udzieliły negatywnej odpowiedzi na moje pytanie - nikt z nas już nigdy naszego domu nie ujrzał.

Przejechaliśmy szybko przez Wołochy. Przed naszym kościołem parafalnym mama kazała na chwilę zatrzymać sanie, zmówiliśmy

krótką modlitwę. Plebania była pusta, ksiądz proboszcz Reczuch, ratując życie, przeniósł się już wcześniej do Brodów. Gospodarstwa wyludnione, nikt nie wyrzał nawet przez okno. Minęliśmy zdewastowany, niegdyś piękny pałac Bocheńskich, jezioro, browar po prawej stronie. Sanie mknęły szybko w kierunku Brodów.

Do Brodów udało się nam dotrzeć szczęśliwie jeszcze tego samego dnia. Zatrzymaliśmy się u kuzyna mamy, Jana Horbaczyńskiego. Przyjęto nas życzliwie. Rozlokowaliśmy się wygodnie. Kuzynostwo mieli obszerny dom, wystarczyło miejsca dla wszystkich. Brody były zamieszkane w ponad pięćdziesięciu procentach przez Polaków, Żydów było ponad czterdzieści procent, odsetek Rusinów, czyli Ukraińców był znikomy. Tak było przed wojną. Faszyści ukraińscy i niemieccy wymordowali lub wypędzili z Brodów wszystkich Żydów. Mimo to w marcu 1944 roku było w mieście więcej ludności niż przed wojną. Schronili się tu bowiem polscy wygnańcy, którym – tak jak nam – udało się uciec z życiem z ziem Podola i Wołynia, spływających polską krwią, palonych i rabowanych przez terrorystyczne watahy UPA w okrutnym, morderczym szaleństwie.

Skupisko ludności polskiej w Brodach w tym czasie liczyło ponad trzydzieści tysięcy osób, działały silne jednostki AK wyposażone

w broń, zdolne stawić czoła znacznej sile bandytów. Ukraińscy terroryści mieli wywiad wszędzie, wiedzieli o tym dobrze. Nie odważyli się zaatakować takiej siły. W Brodach stały jednostki Wehrmachtu, który niezbyt sprzyjał ukraińskim bandom. Jedynym zagrożeniem były bataliony 14 dywizji SS Galizien, których szeregowi żołnierze składali się wyłącznie z ukraińskich ochotników. Bataliony te stacjonujące w Brodach zachowywały się agresywnie w stosunku do Polaków. Miasto kipiało życiem. Kwitł handel z Niemcami. Żołnierze niemieccy, zwłaszcza ci, którzy wracali z frontu, sprzedawali wszystko, przeważnie broń, ale także najróżniejsze rzeczy zrabowane w Rosji. Ruch samochodowy i kolejowy był intensywny. Transporty broni, amunicji i wyposażenia szły na front. Ze wschodu zrabowane mienie. Oddziały wojska jechały w obu kierunkach: zmęczeni, wyczerpani i ranni z frontu, a nowe siły na front. Widziałem na stacji kolejowej transport rannych żołnierzy, których zabrano z pola bitwy. Jechali stłoczeni w wagonach towarowych, byli w przerażającym stanie, krwawili bez środków opatrunkowych, bez dostatecznej opieki lekarskiej. Kilku lekarzy dokonywało operacji w prymitywnych warunkach w wagonie. Zmarłych wynoszono na wozy konne, które jechały na cmentarz. To już nie byli ci butni „Übermenschen”, którzy

„Blitzkriegiem” opanowali większość Europy. Polscy przechodnie z trwogą patrzyli na tych „nadludzi” pokonanych i pobitych.

U Horbaczyńskich mieszkało na kwaterze dwóch oficerów Wehrmachtu. Zachowywali się spokojnie i sympatycznie. Niedawno zostali wycofani z frontu. Z przerażeniem w oczach opowiadali, co się tam dzieje. Straszliwie bali się nowej broni rakietowej, jaką coraz częściej stosowali Rosjanie, tak zwanych katiusz. Byli przekonani, że wojna przez Niemców jest już przegrana. Zakończenie jej to tylko kwestia niedługiego czasu.

Po kilku dniach od naszego przyjazdu do Brodów ku naszej ogromnej radości szczęśliwie do nas dotarł wujek Wojtek Kierepka z żoną i malutkim dzieckiem. Wujostwo byli przerażeni i wycieńczeni do ostatnich granic. Przywieźli straszne potwierdzenie tego, co widziałem w Hucie Pieniackiej na drugi dzień po spaleniu wsi oraz tragiczną informację, że rodzice mojej mamy, Wincenty i Urszula Kierepkowie, moi dziadkowie, nie żyją. Opowieść wujka o przebiegu tragedii w Hucie Pieniackiej wprawiła nas wszystkich w krańcowe przerażenie i rozpacz. Opowieść tę przytoczyłem w książce „Skrawek Piekła Na Podolu”².

2. „Skrawek Piekła na Podolu”. Wydanie własne autora. Warszawa 2007 r.

Ludobójstwo i czystki etniczne zgotowane Polakom na Podolu przez ukraińskich nacjonalistów, niejednokrotnie były kanwą dla poetów i pisarzy w ich twórczości. Poeta, pisarz i historyk Zbigniew Maurycy Kowalski napisał wzruszający rapsod „KAMIENIE NIE MILKNAJĄ, CZYLI HUTY PIENIACKIEJ PAMIĘCI ŻAŁOBNY RAPSOD”. Serdecznie zalecam czytelnikowi zapoznać się z tym poematem. W Hucie Pieniackiej zostali tragicznie zamordowani moi kochani dziadkowie i krewni. Pamięć o ich tragicznej śmierci będzie towarzyszyła mi do końca moich dni.

Wróćmy jednak do zasadniczego wątku opowiadania. Dalsze pozostawanie w Brodach nie było bezpieczne. Zbliżała się czerwona nawała, po której można się było spodziewać tylko nie-szczęść i okrucieństwa. Wiedzieliśmy dobrze, co znaczy bolszewicka czerwona okupacja. Przeżyliśmy przecież sowieckie „wyzwolenie” w 1939 roku. Byłoby to „z deszczu pod rynnę”, prześladowania i wywózki na Sybir. Za wszelką cenę chcieliśmy przedostać się do Warszawy. W jaki sposób? Było to wręcz nie wyobrażalne. Żadne pociągi nie chodziły regularnie. Linie kolejowe były przeciążone

transportami wojskowymi. Ze wschodu na zachód ranni, wycofywane wojska i zrabowane mienie. A z zachodu na wschód uzbrojenie, czołgi i zaopatrzenie wojskowe. Ciągłe bombardowania transportów, stacji, mostów i wszelkiego rodzaju węzłów kolejowych. Tory pozrywane. Wysadzanie torów kolejowych było na porządku dziennym. Ekipy naprawcze nie nadążały naprawiać. Wszędzie grasowały samowolne różnorodne bandy. Praktycznie nie istniała żadna administracja państwowa. Nie było żadnej pewności przedostania się gdziekolwiek, a co dopiero do Warszawy, kiedy? jak?, Absolutnie nie było wiadomo czy cało i z życiem dojedzie się do następnej stacji. Pomimo to, byliśmy gotowi ryzykować, aby wydostać się z tej śmiertelnej otchłani, zagrażającej życiu w każdej chwili.

Dzięki Jasiowi Horbaczyńskiemu ojciec nawiązał kontakt z Niemcem, oficerem SS. Lejtnant Ozga, było to wielkie chłopisko, pamiętam go doskonale. W mundurze SS z trupią czapką na czapce prezentował się groźnie. Był przecież członkiem zbrodniczej organizacji, która dokonywała zbrodni na narodzie polskim. Ale nie zbadane są ludzkie odruchy w sytuacjach śmiertelnego zagrożenia. Ten wróg polskiego narodu wtedy pomógł nam ująć z życiem przed śmiertelnym zagrożeniem, a wiedział dobrze kim jesteśmy. Jeszcze z dwoma esesmanami

jechał samochodem ciężarowym do „faterlandu”. Zgodził się pojechać przez Warszawę i zabrać nasze rzeczy. Zgodził się jeszcze zabrać jedną osobę. Zdecydowaliśmy, że w tak ciężką i niebezpieczną podróż pojedzie ojciec. Wiem, że ojciec zapłacił mu za tę przysługę, nie wiem ile, ale najważniejsze było to, że zaistniała szansa przewiezienia naszych rzeczy do Warszawy. A po załadowaniu, było tego pół skrzyni ciężarowego samochodu, doszły jeszcze rzeczy Horbaczyńskich, jakie zaryzykowali wysłać razem z naszymi do Warszawy. Horbaczyńscy nosili się również z zamiarem emigrowania na zachód. Prawdopodobnie do Warszawy.

Postanowiliśmy, że mama, siostra i ja jednak pojedziemy pociągiem. Ozga więcej osób zabrać nie mógł. Załatwił nam jeszcze bardzo ważny dokument, który w czasie tej niebezpiecznej podróży wielokrotnie uratował nam życie, a co najmniej aresztowanie i wtrącenie do obozu koncentracyjnego. Było to zaświadczenie w języku niemieckim na blankiecie SS z okrągłymi pieczęciami wydane przez miejscową komendanturę SS, zawierające nasze imiona i nazwiska, oraz prośbę do władz wojskowych o pomoc dla uciekinierów prześladowanych przez władze bolszewickie.

Na drugi dzień po wyjeździe ojca, zaopatrzeni w bagaż, zawierający przede wszystkim

jedzenie i ciepłe ubrania wyruszyliśmy: Mama, siostra ja i Lucyna, starsza ode mnie o dwa lata córka Horbaczyńskich. Jasio i Kasia Horbaczyńscy zdecydowali się oddać swoje dziecko pod naszą opiekę w nadziei, że będzie miała większą szansę na przeżycie jadąc z nami do Warszawy, niż tutaj w otchłani śmiertelnego zagrożenia. Sami również byli bliscy decyzji o wyjeździe. Pożegnanie było bardzo smutne. Nikt z nas nie wiedział czy przeżyjemy i czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy. Na stacji czekaliśmy długo, aż ukazał się pociąg z kilkoma wagonami jadący w zachodnim kierunku. Wsiadliśmy i załadowaliśmy nasze bagaże. Nikt nie wiedział czy pociąg, na pewno odjedzie? Kiedy i dokąd?

Wreszcie pociąg ruszył. Mój czworonożny przyjaciel pies Dżog, towarzyszył nam wiernie przez całą drogę z Urszulina do Brodów. Kiedy wsiedliśmy do pociągu biegał wkoło drzwi i lasił się, aby wpuścić go do wagonu. Nie mogliśmy go przecież wziąć razem z nami. Mieliśmy nadzieję, że wróci do Horbaczyńskich i tam znajdzie opiekę. Wierne zwierzę biegło równo z pociągiem i wpatrywało się w okno, przez które wyglądałem za nim. Psia wierność znana jest od dawna na całym świecie. Znane są przypadki, kiedy pies przez kilka lat codziennie przychodził na nabrzeże portu, z którego odpłynął jego pan

i wpatrywał się w morze, a każdego pasażera wychodzącego ze statku witał merdaniem ogona i czekał na swojego pana. Na jednym z rond w Warszawie, gdzie w wypadku zginął właściciel psa, pies przez wiele miesięcy przychodził codziennie, warował i wpatrywał czy jego pan wróci. Serce mi pękało jak widziałem kiedy pociąg przyspieszał, a moje biedne psisko biegło zadyszane starając się dotrzymać kroku. Ale los był nieubłagany. Widziałem jak się potykał, upadał, brakowało mu już sił, ale się podnosił i biegł dalej. Coraz bardziej zostawał, widziałem coraz mniejszą plamkę, w końcu kropkę, aż straciłem go z oczu. Łza spłynęła mi po policzku, a swojego wiernego czworonożnego przyjaciela nie zobaczyłem już nigdy.

Po paru godzinach jazdy i postoju w polu, pociąg dojechał do następnej stacji Zabłóćce, ale o zatrzymaniu się na niej nie było mowy. Na dworcu szaleli bandyci UPA, polscy kolejarze bronili się, trwała strzelanina. Maszynista dodał pary i pociąg przejechał przez perony jak wichher, kilka serii z broni maszynowej poszło po wagonach, ale nikomu się nic nie stało. Podróż była makabryczna. Przez Lwów nie mogliśmy przejechać, były wysadzone tory kolejowe i zbombardowany nieczynny dworzec. Prawie codziennie atakowały samoloty rosyjskie. Pociąg jechał, stał w polu, w lesie, wracał i znowu

jechał. Co jakiś czas na kolejnej stacji maszynista oświadczał, że dalej nie jedzie. Brakowało węgla, wody albo uszkodzona była dalej linia kolejowa, bądź pociąg jechał w niepożądanym dla nas kierunku. Wtedy koczowaliśmy na kolejnych stacjach, na peronach, dzień, dwa a czasami i więcej. Obawialiśmy się, czy wystarczy nam jedzenia. O tym, żeby kupić coś do jedzenia albo picia po drodze nie było mowy. Powoli jednak dążyliśmy na zachód i zbliżaliśmy się do Warszawy. Byliśmy krańcowo zmęczeni, brudni, wyczerpani i zmarznięci.

Na peronie stacji kolejowej Skarżysko Kamienna, koczowaliśmy kilka dni. Byliśmy już w podróży prawie trzy tygodnie. W pewnym momencie podeszła i zaczęła z nami rozmawiać jakaś kobieta. Widząc w jakim stanie jesteśmy i z jakiej śmiertelnej otchłani jedziemy zaprosiła nas do siebie, abyśmy odpoczęli. Udostępniła nam swoje mieszkanie na dwa dni. Mogliśmy się umyć, zjeść coś gotowanego, wreszcie po ludzku wypaść się i zmienić bieliznę. Kto czegoś takiego nie przeżył, nie może sobie wyobrazić co to dla nas znaczyło. Ta kobieta uratowała nam życie, a na pewno zdrowie. Nie podała nam swojego nazwiska ani adresu, nigdy więcej jej nie spotkaliśmy. Ale zawsze będę z wdzięcznością pamiętał jej bezinteresowną, zbawienną pomoc jakiej nam wtedy udzieliła.

Czym dalej byliśmy od frontu, tym mniej było zagrożeń ze strony działań wojennych, szczególnie atakujących samolotów rosyjskich. Ale pojawiły się inne zagrożenia. Jak wiadomo za okupacji niemieckiej, żeby przeżyć, ludzie handlowali nielegalnie czym się tylko dało a szczególnie żywnością. Jakiś transport zorganizowany nie był do pomyślenia. Przewożono więc wszystko w koszykach, torbach, pod płaszczem, bod marynarką bluzką, jak kto mógł. Niemcy mieli z tego niezły dochód. Urządzali łapanki. Zamykali dworzec kolejowy i wszystkich wysiadających z pociągu pod ścianę. Sprawdzali dokumenty i rewidowali każdego. Kto nie posiadał odpowiedniego dokumentu, od razu lądował w transporcie do obozu koncentracyjnego. Jeśli znaleźli broń, aresztowanie, tortury i najczęściej kara śmierci. Oczywiście, wszystkie towary, jakie kto przewoził były rekwirowane całkowicie, i tu była ich największa korzyść. Teraz okazało się, jak bardzo był przydatny dokument dany nam przez esesmana Ozgę. Mama zawsze trzymała go w pogotowiu podsuwając ten papier Niemcowi, który nas zatrzymywał i przepuszczano nas wolno. I tak krańcowo wyczerpani, brudni, gryzieni przez różnego rodzaju insekty, z ranami i wypryskami na całym ciele, pod koniec kwietnia dotarliśmy szczęśliwie do naszej Warszawy.

Jak wysiedliśmy i wylądowaliśmy nasze

bagaze na dworcu głównym w Warszawie, mama kazała nam uklęknąć, pomodlić się i podziękować Bogu za to, że dał nam szczęśliwie i cało tu dojechać. Przechodnie nie dziwili się naszemu zachowaniu. Podobnych wygnańców, wynędzniałych i obdartych było wtedy więcej. Pamiętam, że ktoś z przechodniów jakiś starszy Pan podszedł do nas i zapytał czy nie potrzebujemy jakiejś pomocy. Czy coś takiego /bezinteresowna pomoc/ byłaby możliwa w dzisiejszym społeczeństwie? Mama podziękowała i powiedziała, że potrzebujemy tylko dostać się do Ożarowa, czy pociągi kursują tam normalnie?

– Tak odjeżdżają z tamtego peronu. - padła uprzejma odpowiedź.

Jeszcze stał i funkcjonował wspaniały monumentalny dworzec główny w Warszawie wybudowany w okresie międzywojennym, ten, z którego przed laty odjeżdżaliśmy do Urszulina. Ulga ogromna i radość. Jesteśmy u siebie. Nie istnieje tu ukraińskie zagrożenie. Wszędzie słyhać ukochaną mowę polską. Ludzie przyjaźni i uczynni. Pomimo niebezpieczeństwa gotowi każdemu pomóc w chwilach zagrożenia. Nikt na nas nie napadnie znienacka, nie spali nas żywcem, nie zginiemy nagłą męczeńską śmiercią. Przestaliśmy truchleć o to, czy przeżyjemy do jutra. Powoli napawała nas radość, że dojechalśmy. Każdy napotkany człowiek na ulicy mówiący

po polsku dawał pewność, że jesteśmy wśród swoich. Kto nie przeżył takiego stanu, nie wie co to znaczy słyszeć w koło polski język, jakie wiąże się z tym poczucie swojskości i bezpieczeństwa. Nie wiedzieliśmy jeszcze czy ojciec dojechał cało i zdrowo do Warszawy, to nas niepokoiło. Umówiliśmy się z ojcem, że spotkamy się u Państwa Suskich w Ożarowie koło Warszawy. Do Ożarowa dotarliśmy bez trudności, jeszcze tego samego dnia. Od dworca do Państwa Suskich było tylko kilka kroków. Przywitali nas radośnie i sympatycznie. Radość ogromna, ojciec z naszymi rzeczami dotarł szczęśliwie do Warszawy, nie było go w tym momencie, gdy przyjechaliśmy, ale wieczorem się zjawił. Państwo Suscy, Lucjan i Danuta, przyjęli nas bardzo serdecznie. Byli to przyjaciele moich rodziców. Mieszkali kiedyś w naszym mieszkaniu w Warszawie, gdy byliśmy w Urszulinie. Pani Suska Danuta była u nas kilkakrotnie w Urszulinie na wakacjach. Tu w Ożarowie odstąpili nam jeden pokój w swoim mieszkaniu. Była to dla nas nieoceniona pomoc, mogliśmy złożyć swój nędzny dobytek i mieliśmy dach nad głową. Mogliśmy wreszcie normalnie się umyć, zmienić bieliznę, zjeść coś gotowanego i wypaść się jak ludzie. W tych strasznych sytuacjach było to niezrównanie cenne. Państwo Suscy nie wzięli od nas ani grosza. W warunkach wojennych jakie wtedy panowały taka pomoc

była rzeczą oczywistą.

Okazało się, że podróż ojca samochodem do Warszawy z esesmanem Ozgą nie była tak bezpieczna jakby się wydawało. Niewiele brakowało, a skończyłaby się tragicznie. Aby uniknąć podejrzeń Ozga dał ojcu wojskowy płaszcz SS i hełm na głowę. Tak przebrany tata usiadł pomiędzy esesmanami, jechało ich kilku w samochodzie. Na szosie za Lwowem w nocy, samochód zatrzymała lotna żandarmeria SS. Kazali wszystkim wysiąść i okazać dokumenty. Niemcy stanęli karnie w szeregu. Ojciec stanął na końcu chowając się za innych, rozpoznane cywilne spodnie i buty mogły stać się wielkim zagrożeniem. Oczywiście tata dokumentów niemieckich nie miał. Miał kenkartę jak każdy Polak, z której jasno wynikało, kim był. Żandarmi przystąpili do sprawdzania dokumentów. Ozga cały czas wrzeszczał, że jadą ze specjalną misją do Berlina i kontrolowanie go jest bezprawiem. Sytuacja zaczynała być tragicznie niebezpieczna. Dla ojca w najlepszym przypadku mogła się skończyć obozem koncentracyjnym. Było ciemno, zimno, wichura, wiało śniegiem. Widać było, że i żandarmi mają dosyć tej kontroli. Po sprawdzeniu kilku esesmanów, odstąpili od dalszego sprawdzania. Odjechali. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Dalsza podróż do Warszawy przebiegała już bez przeszkód.

Warszawa, nasze kochane miasto. Byliśmy biedni i bezdomni. Straciliśmy cały nasz majątek, dom zagospodarowany, ziemię i wszystko, na co pracowali rodzice i dziadkowie. Właściwie mieliśmy tylko to, co na sobie i trochę jedzenia. Uratowaliśmy życie, byliśmy cali i zdrowi. Nikt nas jutro nie zamorduje, nikt nie spali nas żywcem. Kto nie zaznał takiego uczucia temu będzie ciężko zrozumieć co to znaczy.

Dach nad głową u Państwa Suskich dał nam szansę na niezbędny odpoczynek i urządzenie się w Warszawie. W tamtych strasznych czasach taka pomoc w nieszczęściu była czymś zupełnie naturalnym. Życie w Warszawie w wielkim mieście przebiegało w miarę normalnie. Kto pracował miał kartki żywnościowe, a pozwalało to, nie umrzeć z głodu. Kwitł handel nielegalny, najczęściej szmuglowaną żywnością. Przylapanie na tym handlu było mocno niebezpieczne, w najlepszym razie kończyło się konfiskatą przewożonego towaru.

Warszawa nie była już taka jak ją zostawiliśmy przed wojną. Ślady bombardowań były wszędzie wyraźne. Na ulicach wyrwy zburzonych i wypalonych kamienic od dachu, aż po piwnice. Nasza kamienica przy ulicy Pańskiej, którą pamiętam z dzieciństwa była zbombardowana i wypalona. Nie istniała. Straciliśmy nasze wyposażone mieszkanie w Warszawie. W wielu

miejscach ślady walk i bombardowań. Oczodoły wypalonych kamienic i okien. Zamek królewski na Starówce zbombardowany i spalony.

Posiadanie radia było surowo zakazane. Powstawały więc samorzutnie orkiestry uliczne, które dawały koncerty na ulicach i podwórkach. Śpiewano piosenki powszechnie na ulicach w tramwajach i na podwórkach. Były to często piosenki o tekście ciętym, wyśmiewające niemieckich okupantów.

*...Siekiera motyka, bimber alasz,
Przegrał wojnę głupi malarz...*

Ale najczęściej śpiewano piosenkę następującą:

Serce w plecaku: słowa i muzyka
M. Zieliński

Z młodej piersi się wyrwało
W wielkim bólu i rozterce
I za wojskiem poleciało
Zakochane czyjeś serce.

Żołnierz drogą maszerował
Nad serduszkciem się uzałił,
Więc je do plecaka schował
I pomaszerował dalej.

Tę piosenkę, tę jedyną
Śpiewam dla ciebie dziewczyno
Może także jest w rozterce
Zakochane czyjeś serce.

Może potajemnie kochasz
I po nocach tęsknisz, szlochasz.
Tę piosenkę, tę jedyną
Śpiewam dla ciebie dziewczyno.

Poszedł żołnierz na wojenkę
Poprzez góry, lasy, pola,
I ze śmiercią szedł pod rękę,
Taka jest żołnierska dola.

I choć go trapiły wielce
Kule, gdy szedł do ataku,
żołnierz śmiał się, bo w plecaku
Miał w zapasie drugie serce.

Tę piosenkę, tę jedyną

Zmieniła się bardzo ulica Warszawska.
Pełno Niemców w mundurach różnych formacji,
zachowujących się często arogancko i wręcz
wrogo. Napisy nazw ulic w języku niemieckim.
Często przed sklepami, kawiarniami, poni-
żające napisy segregacji rasowej „Nur für
Deutsche” /Tylko dla Niemców/. W tramwa-

jach i autobusach wydzielone przedziały dla Niemców, gdzie nie wolno było wejść Polakowi. A najbardziej widoczny i rzucający się w oczy był brak Żydów. Przecież, co trzeci lub czwarty mieszkaniec Warszawy przed wojną był Żydem. To już nie ta ulica Warszawska rozbrzmiewająca szwargotem żydowskim. Ten folklor warszawski znikł zupełnie. Już nie było Warszawy sprzed trzydziestego dziewiątego roku.

Miejsce po getcie zrównane, nie można powiedzieć „z ziemią”, gdyż równa warstwa gruzów sięgała nieraz wysokości drugiego piętra. Gdzieniegdzie kikuty ścian po byłych budynkach. Ani żywej duszy. Pustynia gruzów. Jak można wymordować kilkaset tysięcy ludzi w dwumilionowym mieście?, Jak można zlikwidować zaludniony, tętniący życiem, tak ogromny obszar? Pozostał tylko czynny obóz koncentracyjny na końcu getta przed cmentarzem żydowskim za tak zwaną gęsiówką, w którym przetrzymywano Żydów potrzebnych do wykonywania makabrycznych prac, po których ich likwidowano aby nikt nie pamiętał jakie przyszło im prace wykonywać. Co za apokalipsa? Co jest gorsze, ukraińskie ludobójstwo czy hitlerowska miażdżąca śmiertelna machina? W jakich potwornych czasach przyszło nam żyć? Ulice Warszawskie nie były bezpieczne. Przekonałem się o tym

wielokrotnie. Po likwidacji getta nadal zdarzały się przypadki ukrywania Żydów. Wykrycie ich, powodowało natychmiastową egzekucję na miejscu. Tracili życie również ci, którzy odważyli się Żydów ukrywać lub im pomagać.

Na zajętych przez Niemców obszarach Europy tylko na terenie polski obowiązywał nakaz karania śmiercią osób, które pomagały Żydom. Na terenie podbitych państw zachodnich Niemcy nie stosowali takiej kary.

Po ulicach dzień i w nocy krążyły niemieckie uzbrojone patrole. Jeździły samochody pancerne uzbrojone w karabiny maszynowe. Na porządku dziennym zdarzało się, że bez specjalnych powodów strzelali do przechodniów na ulicy. Zmorą codziennego życia były stale organizowane przez Niemców tak zwane łapanki na ulicach Warszawy. Dzisiaj mało kto wie, jak wyglądała taka łapanka. Kto nie przeżył tych czasów nie ma o tym pojęcia. Ja przeżyłem kilka takich łapanek więc pamiętam dokładnie jak to się odbywało. Jadące ulicą samochody wojskowe wiozące uzbrojonych żołnierzy nagle zatrzymywały się, a dwie tyraliery uzbrojonych żołnierzy zamykały całkowicie ruch na określonym odcinku ulicy. Zazwyczaj zamykano taką część ulicy, aby na niej znalazło się kilkadziesiąt osób. Wybierano takie miejsca, gdzie nie było poprzecznych ulic i nie było

bram, ani żadnych wejść do domów. Wszystko dlatego, aby nie było szans na ucieczkę osób zamkniętych dwoma tyralierami. Wszystkich z rękami podniesionymi do góry ustawiano w szeregu twarzą do ściany. Następowala rewizja i sprawdzanie dokumentów. Jeśli znaleziono cokolwiek wskazującego na kontakty z konspiracją, delikwent był wleczony do tzw. „budy”³. Czekalo go ciężkie, brutalne śledztwo, śmierć, a w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny. Jeśli u kogoś znaleźli broń egzekucja następowała na miejscu. Zwalniani byli Niemcy volksdeutsche i dzieci, pozostałych ładowano na samochody i transportowano do obozów koncentracyjnych lub na roboty do Niemiec. Udało mi się kilka razy wydostać z takiej opresji. A to dzięki naszemu proboszczowi ks. Antoniemu Reczuchowi z parafii w Ponikwie. W jaki sposób? Opowiem:

Na całym terenie zajęтым przez Niemców werbowano do niewolniczej pracy w Niemczech. Werbunek w wielu przypadkach odbywał się przymusowo, chciał nie chciał, ale pojechać musiał. Podlegali mu wszyscy powyżej lat czter-nastu. Nasz proboszcz rozumiejąc sytuację wydał na prośbę mego ojca metrykę dla mnie z datą urodzenia o dwa lata późniejszą. Byłem więc jeszcze dzieckiem i nie podlegałem

3. Samochód ciężarowy zakratowany przystosowany do przewożenia więźniów.

przymusowym robotom w Niemczech. Na podstawie tej metryki w Warszawie miałem wyrobioną legitymację szkolną /Ausweisschule/, a z niej wynikało, że mam jedenaście lat. W czasie łapanek, przy sprawdzaniu dokumentów, esesman zmierzył mnie wzrokiem podejrzliwie ...*kinder weck*i zostałem zwolniony.

Łapanek były okrutną metodą na zastraszenie ludności. Nikt nie wiedział, wychodząc na ulicę czy wróci do domu. Stale ogłaszano godzinę policyjną od 22.00 do 6.00 rano. W czasie godziny policyjnej obowiązywało zaciemnienie okien. Żadne światło nie mogło przedostać się na zewnątrz. Jeśli ktoś zapomniał zasłonić szczelnie okna, bądź przedostawał się jakiś promyk światła na zewnątrz, niemieckie patrole podnosiły wrzask „licht...!”, a jeśli to nie pomagało, następowała seria z automatu po oświetlonych oknach. Stale na ulicach ukazywały się plakaty, informujące o tym, że...” *w dniu takim a takim polscy bandyci dokonali zamachu na Niemców, w odwecie rozstrzelano następujących zakładników*”. I tu było wymienionych kilkanaście, kilkadziesiąt, a czasami sto kilkadziesiąt i więcej nazwisk. W muzeum Powstania Warszawskiego można obejrzeć oryginały takich plakatów. Do dnia dzisiejszego na ulicach Warszawy widnieją kamienne tablice informujące o tym, że tu, w dniu takim a takim hitlerowcy rozstrzelali tyłu a

tylu Polaków. Uważam że powinno być napisane że: Niemcy rozstrzelali, bo przecież egzekucji dokonywali Niemcy bez żadnego postępowania sądowego i bez żadnego wyroku. Dobrze, że istnieją chociaż takie tablice. Postawiono je zaraz po wojnie. Ale czy Ci męczennicy nie zasłużyli na to, aby na tych tablicach wymienić ich nazwiska? To prawda, na pewno zasłużyli. Ale po pierwsze nie wszyscy rozstrzelani mieli dokumenty, ponadto rozpoznanie rozstrzelanych nie zawsze było możliwe. Takich tablic w Warszawie jest ponad czterysta. Na większości tablic są daty: sierpień, wrzesień rok 1944.

Mieszkam na osiedlu żoliborskim w Warszawie. Obok, przy ulicy Barszczewskiej 19, którą często przechodzę, na kamienicy która jeszcze przetrwała ze śladami pocisków z czasów powstania, jest wmurowana tablica z napisem: „Tu 15 września 1944 roku hitlerowcy rozstrzelali 50 osób”. Na ogół czyta się taki napis jak zwykłą informację. Ale warto by, na chwilę się zatrzymać. Nakreślić znak krzyża. Wyobrazić sobie stojących pod murem 50 przypadkowych osób z podniesionymi rękami, ich strach i przerażenie a za chwilę, huk śmiertelnej salwy i osuwające się ciała. Przecież Ci ludzie mieli rodziny. To nie tylko nieszczęście ich. To także płacz, łzy i ból ich rodzin. Obok tablicy postawiono betonowy krzyż. Zawsze są tam

świeże kwiaty a często płonące znicze. Ludzie pamiętają o swoich bliskich, którzy ponieśli straszną śmierć męczeńską. Wiemy, że pamięć jest powinnością i bogactwem. Na Żoliborzu w Warszawie jest bardzo wiele takich tablic. W czasie kiedy powstanie trwało, Niemcy postanowili z podwarszawskich miejscowości wysiedlić wszystkich ludzi w głąb Niemiec. Wokół Warszawy powstała strefa wyludniona.

Ale wróćmy do czasów przed powstaniem. Ojciec miał dużo znajomych i przyjaciół w Warszawie, pomogli mu. Bardzo szybko dostał dobrze płatną posadę. U swojego przyjaciela, właściciela fabryki galanterii papierniczej został dyrektorem ekonomicznym. Biuro mieściło się na Starym Mieście przy ulicy Kościelnej. Pamiętam jak tata przyniósł pierwszą wypłatę, całe dwa tysiące złotych. Na owe czasy było to dużo. Radość ogromna, już nie zginiemy z głodu. Zaraz wynajęliśmy mieszkanie w Warszawie na Mokotowie przy ulicy Madalińskiego nr 71. Była to willa z ogrodem, której właścicielką była Pani Hass. Mieliśmy do dyspozycji cały parter, dwa duże pokoje z kuchnią, łazienką i przyległościami. W holu telefon. Za pierwszą pensję rodzice kupili tapczan, łóżko, stół i cztery krzesła. Było na czym spać, przy czym i na czym siedzieć.

Tata zaraz zapisał mnie do szkoły pow-

szechnej. I tu zaczęła się moja tragedia. Miałem trzynaście lat, ale dysponowałem wiedzą na poziomie czwartej klasy szkoły podstawowej. Znajomość ukraińskiego i rosyjskiego nie przydawała się na nic. Okazało się, że nauka w szkole bolszewickiej była warta mniej niż zero. Jednak ze względu na wiek, poszedłem do klasy siódmej. Przeżywałem męki Tantala. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym ten nauczyciel przy tablicy mówi. Zwłaszcza z matematyki i z fizyki. Nie potrafiłem rozwiązać żadnego zadania. Szkoła była na Wierzbnie przy ulicy Naruszewicza. Ojciec załatwił mi korepetycje u Dyrektorki Szkoły, codziennie po lekcjach dwie lub trzy godziny. Teraz dopiero z przemęczenia robił mi się mentlik w głowie. Nie było rady, musiałem wytrzymać. Chciałem koniecznie do wakacji przerobić tę siódmą klasę.

W mojej klasie większość młodzieży należała do Szarych Szeregów. Na mnie z początku patrzono trochę podejrzliwie, głównie ze względu na akcent, trochę kresowy. Nikt przecież mnie nie znał, nie wiedzieli, kim jestem, nie miałem tu żadnych przyjaciół w moim wieku. Ale po jakimś czasie obdarzono mnie zaufaniem i zaczęto dopuszczać do tajnych działań. Niestety po wojnie nie spotkałem nikogo z naszego zastępu, z naszej klasy. Dopiero w roku 2008 w Stowarzyszeniu Szarych Szeregów krąg radiostacja, do którego

należę, spotkałem Druha, który przed powstaniem chodził do tej samej szkoły w tym samym czasie. Przywitaliśmy się serdecznie. Opowiadaniom o taniej szkole i tamtych czasach nie było końca. Poza planowymi zajęciami szkolnymi kilka razy w tygodniu odbywały się zajęcia tajne. Na tych tajnych spotkaniach przy drzwiach zamkniętych czytano zakazane lektury: „Placówkę” Prusa, dzieła Sienkiewicza, wiersze Konopnickiej i innych pisarzy polskich. Odbywały się także lekcje literatury i historii polskiej. Były to zajęcia zakazane, w razie wpadki, nauczycielowi groził obóz koncentracyjny albo jeszcze coś gorszego.

W ten zorganizowany sposób uzupełniano wykształcenie z zakresu historii i literatury polskiej, aby umożliwić młodzieży dalsze normalne studia. W czasie tych zajęć zawsze ktoś trzymał wartę na zewnątrz. W razie niebezpieczeństwa, mielibyśmy czas na ukrycie zakazanej literatury. Przygotowane były książki i zeszyty z innych przedmiotów a materiały zakazane byłyby natychmiast usunięte.

W końcu czerwca okazało się, że moja ciężka praca nie poszła na marne. Skończyłem szkołę podstawową z wynikiem dostatecznym. Dostateczny był trochę na wyrost, ale Rada Pedagogiczna oceniła moją wytrwałość pozytywnie. Teraz powstał problem mojej dalszej edukacji.

Niemcy po zajęciu Polski, w ramach traktowania Polaków jako „podludzi”, zdolnych wyłącznie do pracy niewolniczej, natychmiast zamknęli i zlikwidowali wszystkie szkoły wyższe, licea i gimnazja o programach ogólnych przygotowujących młodzież do studiów wyższych. Pozostały tylko szkoły zawodowe. Przy ulicy Puławskiej było Gimnazjum Władysława Giżyckiego, jedno z najlepszych w Warszawie. Codziennie jadąc ulicą Puławską jechałem tramwajem obok zabudowań tej szkoły. Ze względu na profil przyrodniczy, jaki był preferowany w Gimnazjum W. Giżyckiego przekształcono je w zawodową szkołę ogrodniczą. W ten sposób uniknięto zamknięcia szkoły. Szkoły zawodowe mogły funkcjonować. W szkole Giżyckiego poza oficjalnym zawodowym programem na tajnych kompletach był realizowany uzupełniający program, przygotowujący uczniów do studiów w szkołach wyższych. Ojciec zapisał mnie do tej szkoły, po wakacjach od pierwszego września miałem się stawić na lekcjach. Nie byłem specjalnie z tego zadowolony, gdyż ogrodnictwa miałem dosyć w naszym majątku w Urszulinie, ale nie było innego wyboru. Żadne przeczucia nie ostrzegały nas jakie nieszczęścia spotkają nas w czasie wakacji.

Z każdym miesiącem było nam lżej, mieliśmy co jeść, kupiliśmy nowe ubrania,

urządzało się mieszkanie. Po kilku tygodniach szczęśliwie cało i zdrowo dotarli do nas Jasio i Kasia Horbaczyńscy. Radość była ogromna, szczególnie cieszyła się Lusia, znowu była z rodzicami. Odstąpiliśmy im nasz jeden pokój. Po jakimś czasie przyjechał wujek Wojtek Kierepka z żoną i dzieckiem. Zamieszkali w Ożarowie. Opowiadali co działo się na kresach po naszym wyjeździe. Strach było słuchać. Napady, rzezie i morderstwa ludności polskiej nasilały się coraz bardziej. Zbliżający się front bolszewicki nasilał to szaleństwo. Wszyscy byliśmy absolutnie pewni, że pozostanie w Urszulinie równało się wyrokowi śmierci. Naszych opowiadań o tym, co dzieje się na kresach, ludzie tutaj w Warszawie słuchali jak bajek o żelaznym wilku. Nikt nie miał pojęcia o działalności ukraińskich nacjonalistów na kresach.

-Jakie bandy UPA? Kto o tym słyszał?

-Jakie morderstwa, za co? Że faszyci mordują, to wiedział każdy, ale Ukraińcy?

-Za co? dlaczego? To pewnie jakieś lokalne konflikty, o czym wy opowiadacie?

Nie było szans na przekonanie. Ci, którzy nam wierzyli, nie mogli pojąć o co chodzi, dlaczego? Przecież wróg jest jeden Niemcy. Czemu Ukraińcy mordują Polaków? Wyjaśnienia nie przynosiły skutku. Dopiero w czasie powstania Warszawskiego, szczególnie

na Woli gdzie ukraińscy faszyci zaprezentowali swoje barbarzyńskie umiejętności, wiele osób przekonało się jak wygląda nienawiść ukraińskich nacjonalistów.

Oczywiście za czasów okupacji niemieckiej, dostępna prasa cenzurowana przez Niemców absolutnie nie informowała o tym co działo się na kresach Rzeczypospolitej. Społeczeństwo warszawskie nie miało żadnej wiedzy jaka jest sytuacja na kresach. Radia lub innych masowych środków przekazu przecież nie było. Prasa nielegalna, chociaż masowo kolportowana mimo ogromnego niebezpieczeństwa, informowała bardzo fragmentarycznie o tym co działo się na wschodzie. Były inne kłopoty i inne ważniejsze zadania. Zakaz posiadania radia był rygorystycznie przestrzegany, groziła za to okrutna kara. Niemcy jednak w celach propagandowych w całej Warszawie zamontowali sieć radiofoniczną. Na każdej ulicy, na każdym placu i skrzyżowaniu były zainstalowane megafony. Ludzie nazywali je „szczekaczkami”. Cały dzień sączyła się z nich niemiecka propaganda. Komunikaty o zwycięstwach Wehrmachtu na wszystkich frontach, genialnej strategii Hitlera i temu podobne bzdury. Propagandę przeplatano niemieckimi marszami i przemówieniami Hitlera. Nawoływano stale do wyjazdu na roboty

do Niemiec. Wciąż, szczegółowo informowano o odkrytych mogiłach polskich oficerów, pomordowanych przez sowietów w Katyniu. Próbowano Polaków zachęcić do tworzenia polskich oddziałów, które miałyby walczyć z bolszewikami na froncie wschodnim, lecz nic z tego nie wyszło, nie zgłosił się żaden ochotnik. Zdarzyło się pewnego dnia coś niewiarygodnego, co sparaliżowało całą Warszawę. Ryk niemieckiego marsza lejący się stale ze szczekaczek został nagle przerwany. Do sieci megafonów podłączyli się działacze polski podziemnej.

-Halo! Halo!

-Tu Delegatura Polskiego Rządu na emigracji. Podajemy komunikaty: I tu podano krótkie informacje o pracach Polskiego Rządu w Londynie i o działaniach Armii Krajowej na terenie kraju. Przekazano wiadomości o walkach polskiej armii na frontach zachodnich. Ze wszystkich szczekaczek popłynęło gromko. „Jeszcze Polska nie zginęła.....”

Warszawa zamarła. Stanęły wszystkie tramwaje, samochody i riksze. Wszyscy przechodnie stanęli na baczność.

Połączenie trwało krótko. Kilkadziesiąt sekund, może kilka minut, ale znaczenie propagandowe tego faktu było ogromne. Podniosło

na duchu umęczony naród. Wlało nadzieję w obolałe serca. Niemcy oszaleli. Na miasto ruszyła policja i żandarmeria. Zostały wzmożone aresztowania i egzekucje. Takich podłączeń do sieci szczekaczek w czasie okupacji było więcej.

Z każdym dniem, pomimo zagrożeń wojny i okupacji coraz bardziej wracaliśmy do normalnego życia. Najważniejsze, że tata pracował, dawało to nam znośną egzystencję. Życie z dnia na dzień stawało się normalniejsze. Odetchnęliśmy, mogliśmy żyć w miarę dostatnio. Odwiedzali nas nasi znajomi. Najczęściej Lucjan Suchecki, ojca przyjaciel a mój ojciec chrzestny. Był inwalidą z wojny polsko-bolszewickiej, walczyli razem z moim ojcem w armii generała Śmigłego Rydza. W czasie walk pod Kijowem został też ciężko ranny, miał dużą utratę zdrowia. Cała lewa strona, była sparaliżowana. Lewa noga była sztywna, poruszał się z trudnością. Bez laski chodzenie było nie możliwe. Z tyłu głowy od cięcia bolszewickiej szabli miał ubytek czaszki. Ubytek był uzupełniony złotą blaszką. Zaczesywane blond włosy zakrywały połyskujące złoto. Nosił długą rudą brodę i mówił, że dopóki nie skończy się wojna nie ożeni się i brody nie zgoli. Wojna się skończyła, ożenił się, miał kilkoro dzieci, ale brody już nie zgolił. Suchecki był ważną postacią w organizacji podziemnej. Zawsze przynosił biuletyny Armii

Krajowej, najświeższe tajne wiadomości. W tym celu miał specjalnie skonstruowaną laskę. Laska była bambusowa. Po naciśnięciu ukrytego przycisku można było ją rozłączyć na kilka części. Wewnątrz w pustych przestrzeniach znajdowały się rulony tajnych dokumentów. Jako inwalida z widocznym kalectwem mógł swobodnie poruszać się po mieście, nie groziły mu aresztowania w łapankach. Tajne materiały były szybko przekazywane dalej. Kolportażem i roznoszeniem ich pod umówione adresy zajmowaliśmy się obaj z ojcem. Dostarczanie tego materiału nie było jednak takie łatwe. Należało codziennie nauczyć się na pamięć kilka adresów, haseł i odzewów. Zapiski adresów lub haseł były nie dopuszczalne, tworzyły ogromne niebezpieczeństwo w razie wpadki. Tata jako inwalida z widoczną utratą zdrowia nie był narażony na przypadkowe aresztowania, a ja z legitymacją szkolną z której wynikało, że jestem dzieckiem, też w razie łapanki mogłem uniknąć represji. Oczywiście niebezpieczeństwo było duże. W razie łapanki i rewizji znalezienie takich materiałów mogło się bardzo źle skończyć. Aresztowanie, śledztwo, tortury w celu wykrycia źródła ich pochodzenia, a wyrok był tylko jeden. Jednak ludzie ryzykowali każdego dnia i w każdym miejscu.

Przenoszenia ważnych dokumentów i rozkazów mogły dokonywać tylko osoby zaprzy-

sieżone. Ojciec mój przywołał przysięgę jaką złożyliśmy na Podolu we wrześniu po rozpoczęciu wojny.

Pamiętam dokładnie tę przysięgę. W połowie września 1939 roku już po przekroczeniu granicy polskiej przez Rosjan. W nocy zadzwonił dzwonek do naszej bramy. Ojciec otworzył bramę. Wjechała bryczka z parą koni na nasze podwórko. Okazało się, że to dwaj oficerowie znajomi mojego ojca i jeden żołnierz. Spieszyli się bardzo. Weszli do gabinetu mojego ojca. Nie wiem o czym rozmawiali. Za chwilę tata poprosił mamę i mnie, małą siostrzyczka też weszła. Tata powiedział: To jest major wojska polskiego mój przyjaciel, wymienił nazwisko, ale nazwiska po tylu latach nie pamiętam. W obecnej sytuacji oficerowie i żołnierze wojska polskiego są prześladowani i grozi im wielkie niebezpieczeństwo. Panowie muszą zdjąć mundury i przebrać się w cywilne ubrania, zostawią u nas broń. Musimy im pomóc. Ale przed tym musimy złożyć przysięgę.

Major najstarszy stopniem wyprężył się na baczność. Poprosił aby wszyscy uklękli. Powstał nastrój niezwykle uroczysty. Zaczął mówić: „Pamiętajmy, że z chwilą wybuchu wojny jesteśmy wszyscy żołnierzami”. Mówił powoli akcentując każde słowo. Proszę powtarzać za mną przysięgę. Odczytał z kartki przysięgę. Klęcząc powtarzaliśmy słowo po słowie. Nie pamiętam

całego tekstu, ale były tam na pewno następujące sformułowania.

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu być wiernym Ojczyźnie mojej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać na straży konstytucji i honoru obywatela polskiego. Prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec. Za sprawę Ojczyzny mojej walczyć do ostatniego tchu w piersiach, aż do odzyskania pełnej niepodległości. Postępować tak, abym mógł żyć i umierać jak prawy obywatel polski. Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna jego męka. Amen”.

Po przysiędze major dodał: „Zmówmy modlitwę za żołnierzy, którzy oddali swe życie broniąc naszej ojczyzny. Ojcze nasz. Zdrowaś Maria”.

Prawie wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Po modlitwie żołnierze przebrali się w ubrania cywilne. Zostawili szable, broń długą i amunicję. Mama zrobiła coś do jedzenia. Wojskowi już w ubraniach cywilnych szybko odjechali. Napaliliśmy w piecu. Odpięliśmy dystynkcje i guziki z orzełkami złożyliśmy do hermetycznie

zamkniętego słoika i zakopaliśmy w umówionym miejscu. Mundury spaliliśmy. Najbardziej wzruszony i zasmucony był mój ojciec. Broń i amunicję schowaliśmy. W czasach ludobójstwa zgotowanego Polakom przez OUN UPA uzbrojenie to bardzo się przydało.

Wróćmy jednak do sytuacji w Warszawie. Po oświadczeniu złożonym przez mojego ojca o przysiędze, zostaliśmy upoważnieni do przenoszenia ważnych dokumentów.

Pewnego dnia w tajnych materiałach przyniesionych przez Sucheckiego znalazł się wiersz, przez nikogo nie podpisany. Ojciec zawołał nas wszystkich i przeczytał:

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga, daleka przed nami,
Mocne serca, a w ręku karabin,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Jasny świt się roztoczy, wiatr owieje nam oczy
I odetchnąć da płucom, i rozgorzeć da krwi,
I piosenkę jak tęczę nad nami roztoczy
W równym rytmie marsza: raz, dwa, trzy...

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga daleka przed nami, trud i znój,
Po zwycięstwo, my młodzi, idziemy na bój,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Ciemna noc się nad nami roziskrzyła gwiazdami,
Białe wstęgi dróg w pyłe, długie noce i dni,
Nowa Polska, zwycięska, jest w nas i przed
nami

W równym rytmie marsza: raz, dwa ,trzy...

Hej chłopcy, bagnet na broń !
Bo kto wie, czy to jutro, po jutrze, czy dziś
Przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba nam iść,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że jest to piosenka napisana przez Krystynę Krahelską „DANUTĘ” jeszcze w styczniu roku 1943. Nie znaliśmy melodii tej piosenki. W pierwszych latach po wojnie w harcerstwie śpiewaliśmy ją często. Władza socjalistyczna w niedługim czasie skutecznie postarała się o to, aby podobnych piosenek harcerze nie śpiewali.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że w czasie okupacji, cały naród polski był w szczególnej zмовie przeciwko nazistowskiм barbarzyńcom. Trudno było znaleźć kogokolwiek, kto by świadomie z determinacją narażenia życia nie współpracował z jakąś komórką organizacji podziemnej. Napaść na wolne państwo polskie, represje i okrucieństwa stosowane wobec

bezbronnej ludności przez hitlerowskich barbarzyńców powodowały zdecydowany opór. Powstała w narodzie powszechna, przenikająca do podświadomości wola bezwzględnej walki z okupantem. Wola zbrojnego przeciwstawiania się Niemcom była wszechobecna, przenikała wszystkich niezależnie od stanu, wykształcenia czy majątku. Jednoczyła wszystkie warstwy społeczne bez względu na przekonania polityczne i społeczne. Ktoś kto nie był w konspiracji bądź nie pomagał podziemiowi na miarę i ponad miarę swoich możliwości był potępiony, nie istniał, nie liczył się w żadnym kręgu towarzyskim. Nikt nie szczędził wysiłku, majątku i zdrowia. Ludzie na każdym kroku i codziennie ryzykowali życiem. Najważniejsza była walka ze śmiertelnym wrogiem. Powszechnym uznaniem cieszyli się Ci, którzy czynnie brali udział w akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom. W trudno dostępnych lasach działały powszechnie zorganizowane oddziały partyzanckie.

Warszawa żyła podwójnym życiem. Oficjalnie działała niemiecka okupacyjna administracja, handel, rzemiosło, usługi itp. W konspiracji funkcjonowało państwo polskie z rządem na emigracji. Działały podziemne wyższe uczelnie, administracja, a przede wszystkim Armia Krajowa. W AK zostały włączone prawie

wszystkie ugrupowania powstałe na terenie kraju mające za cel zbrojną walkę z okupantem. Oddziały partyzanckie lub konspiracyjne obejmowały swoim działaniem każde województwo. Pod koniec okupacji polskie siły zbroje na terenie kraju walczące z Niemcami liczyły łącznie ponad 350 tysięcy żołnierzy. Jeśli dołączylibyśmy do tego polską armię na wschodzie oraz armię walczącą na zachodzie, to polskie siły zbrojne w tym czasie walczące przeciwko Niemcom były czwartą armią świata po armii radzieckiej i zjednoczonych siłach alianckich.

Zbliżał się sierpień 1944 r. Front wschodni przekroczył granice drugiej Rzeczypospolitej. Czuło się oddech komunistycznej nawały, my wiedzieliśmy dokładnie co ona z sobą niesie. Kiedy rozmawialiśmy ze znajomymi i opowiadaliśmy czym grozi bolszewicka okupacja ludzie nie dawali wiary. Nikt nie mógł zrozumieć co znaczy stalinowskie zagrożenie. Oficjalna niemiecka prasa szeroko informowała o zbrodniach katyńskich i o tym co dzieje się pod bolszewickim reżimem. Ale większość ludności uważała to za hitlerowską propagandę mającą na celu zniechęcenie Polaków do armii, która skutecznie walczy ze znienawidzonym okupantem. Wiadomości z terenów zajętych przez Rosjan o tym, że rosyjskie władze rozbrajają oddziały partyzanckie, aresztują przywód-

ców Armii Krajowej docierały coraz częściej. Wielu ludzi w to nie wierzyło, przyjmując to za niemiecką propagandę. Myśmy jednak wiedzieli że jest to prawda.

Niewielu było takich, którzy zdawali sobie sprawę z tego, co się będzie działo jak wejdą tu Rosjanie. Nie było jednak ani rady ani sposobu uniknięcia tego, co niewątpliwie nastąpi, jak wejdą tu czerwoni „wyzwoliciele”. Front bolszewicki zbliżał się do Warszawy nieuchronnie. Pod koniec lipca czołgi radzieckie podchodziły już pod Wołomin. Były pogłoski, że dochodzą już na przedmieścia Pragi, że przekroczyli już Wisłę. Co robić? Uciekać dalej na zachód? Dokąd? Znowu zostawić wszystko? Iść na tułaczkę? Należało się liczyć z tym, że walki o Warszawę mogą być długotrwałe. Wszechobecnie było pewne, że w Warszawie wybuchnie powstanie. Gromadziliśmy żywność, głównie taką, która się szybko nie psuje, środki opatrunkowe, świece, lampy naftowe i zapasy wody. Wiadomo było, że w czasie walk elektrownia i wodociągi przestaną działać. Coraz częściej na niebie pojawiały się rosyjskie samoloty. Bombardowały Warszawę. Bomby spadały gdziekolwiek, na domy mieszkalne, na ulice. Nie było widać jakiegoś zamierzonego celu. Wydawało się, że lotnicy rosyjscy chcieli się ich pozbyć jak najszybciej i

wracać z powrotem do bazy.

Coraz częściej przez Warszawę przelatywały na dużej wysokości ławice samolotów. Nie zawsze można było rozpoznać, niemieckie, alianckie czy rosyjskie? Czasami było to imponujące widowisko. Nie było możliwe policzenie ich ilości. Przelatywały przez kilkadziesiąt minut, może i ponad godzinę. Na dużej wysokości, niebo było pokryte od horyzontu do horyzontu. Huk potężny. Ale Warszawy nie bombardowały. Niemiecka obrona przeciwlotnicza nie reagowała zupełnie. Niemieckie wojska stacjonujące w Warszawie wykazywały coraz większy stopień zdenerwowania. Ewakuowano niemieckie urzędy, wynosiła się niemiecka administracja. Czuło się, że ich panowanie niebawem się skończy. Przez Warszawę przejeżdżały transporty rannych niemieckich żołnierzy oraz kolumny wycofywanego z frontu wojska. Likwidowały się posterunki żandarmerii stale nękające ludność Warszawy. Niemcy pakowali manatki i w popłochu wiali do faterlandu. Na ulicach widziało się coraz mniej niemieckich mundurów. Jasne było, że zbliża się ich koniec.

Wśród ludności Warszawy stale wzrastało napięcie. Powszechnie mówiło się, że lada dzień wybuchnie powstanie. Wrogość przeciwko

Niemcom, chęć zemsty za miliony bestialsko pomordowanych i umęczonych rodaków była przytłaczająca. W Polsce nie było człowieka kto nie straciłby kogoś z rodziny, kogoś z bliskich albo sam nie doznał bolesnych krzywd. Zdecydowana chęć zemsty była powszechna i widoczna na każdym kroku. W każdym gotowała się żądza odwetu. Narastało napięcie. Wybuch był nieunikniony. Powstanie nie było do uniknięcia. Czuło się ciągły wzrost gorączkowej atmosfery. Zbliżała się godzina „W”. Sytuacja była wybuchowa, taka, że żadne zakazy ani nakazy nie odniosłyby skutku. Warszawa sprawiała wrażenie gotującego się kotła, w którym stale wzrasta temperatura i ciśnienie, a kocioł ten za chwilę nieuchronnie wybuchnie. Wybuch niekontrolowany, spontaniczny nastąpiłby bez wątpienia i to w wielu miejscach. Bez względu na to, czy dowódcy Armii Krajowej bądź Rząd w Londynie daliby do tego rozkaz czy nie. Rząd emigracyjny decyzję o powstaniu przekazał w ręce dowództwa Armii Krajowej w Warszawie.

Dowódca AK Bór Komorowski zwlekał przed podjęciem decyzji o powstaniu. Zdawał sobie sprawę, że na realną pomoc polskich sił zbrojnych istniejących na zachodzie podległych aliantom liczyć nie można. Alianci Amerykanie i Brytyjczycy unikali dyskusji z Rządem Polskim na temat powstania w Warszawie. Od czasu

śmierci Generała Władysława Sikorskiego znaczenie polskiego rządu na emigracji w Londynie bardzo zmalało. Usuwając Premiera polskiego rządu Stalin osiągnął swój cel. Zerwał stosunki z Rządem Polskim. Generał Władysław Sikorski był postacią, z którą bardzo liczyli się alianci. Katastrofa (a właściwie zamach) w Gibraltarze do dziś nie została wyjaśniona. Archiwa brytyjskie są szczelnie zamknięte do dziś i będą zamknięte jeszcze przez wiele lat. Czego się boją Brytyjczycy? Wszystko wskazuje na to, że maczali w tym palce. A może się czegoś wstydzą? Szefem brytyjskiego wywiadu na basen morza śródziemnego był brytyjski arystokrata Kim Filby. Po wojnie okazało się, że był rosyjskim szpiegiem. Uciekł do Moskwy, gdzie został przyjęty z honorami. Dożył swych dni w dobrobycie, na łasce rządu Rosyjskiego. Rosyjskie archiwa w sprawie katastrofy w Gibraltarze też do dziś są nie dostępne. Najwięcej korzyści po śmierci premiera polskiego rządu na emigracji odniósł reżim rosyjski. Więc tym tropem powinno iść śledztwo.

Brytyjczycy nie przysłali do Warszawy żadnego swojego upoważnionego przedstawiciela. Namawiali, aby Premier Polskiego Rządu Stanisław Mikołajczyk rozmawiał w Moskwie ze Stalinem. Premier w ostatnich dniach lipca udał się do Moskwy, upokorzony

wrócił, a z rozmów nic nie wynikało. Zarówno rząd emigracyjny w Londynie jak i dowództwo sił zbrojnych w kraju nie miało pojęcia o tym, że alianci już dawno przyrzekli Stalinowi, że Polska będzie w strefe jego wpływów. Decyzja o tym była szczelnie ukrywana przed Polakami zarówno przez aliantów jak i oczywiście przez władze rosyjskie.

Amerykanie i Brytyjczycy liczyli się z ówczesną miażdżącą siłą Stalina i nie chcąc powodować zadrażeń już wcześniej oddali mu inicjatywę polityczną i zbrojną w tej części Europy. Skuteczną pomoc Powstaniu Warszawskiemu mogła tylko udzielić Armia Czerwona. W dowództwie Armii Krajowej w ostatnich dniach lipca toczyły się gorące dyskusje. Wszelkie informacje nadchodzące z obszarów polski zajętych przez Armię Czerwoną świadczyły o tym, że Rosjanie wszelkimi sposobami likwidują dowództwa i jednostki Armii Krajowej. Aresztują oficerów, rozbrajają żołnierzy. O współdziałaniu z Armią Czerwoną nie mogło być mowy. Istniała groźba, że z chwilą wybuchu powstania Armia Czerwona opóźni zajęcie Warszawy i umożliwi Niemcom likwidację powstania. W dowództwie AK były również i takie głosy, że powstanie powinno się rozpocząć natychmiast. A Armia Czerwona po wejściu do Warszawy powinna być powitana

przez polską władzę. Sytuacja stawiała się gorąca. Czołgi rosyjskie podchodziły pod Warszawę. Ugrupowania komunistyczne współpracujące z sowietami na własną rękę ogłaszały rozpoczęcie powstania oskarżając dowództwo AK o tchórzostwo. Radiostacje komunistyczne w języku polskim z obszarów zajętych przez armię sowiecką wzywały do powstania. „...*Niech milion mieszkańców Warszawy stanie się milionem żołnierzy walczących o wyzwolenie stolicy...*” W takiej oto sytuacji, w dniu 31 lipca 1944 Dowódca sił zbrojnych w Kraju Bór Komorowski podjął decyzję o powstaniu w Warszawie na dzień 1 sierpnia o godz. 17 tej.

Jak wiemy sprawdził się najczarniejszy scenariusz. Z chwilą wybuchu powstania Rosjanie natychmiast ofensywę wstrzymali. Armia Czerwona, największa i najsilniejsza w owym czasie armia Europy, stała pięć i pół miesiąca po drugiej stronie Wisły i przyglądała się bez jednego wystrzału, jak Niemcy zabijają dwumilionowe miasto, jedną z najpiękniejszych stolic europy. Za samodzielną decyzję o przeprawie przez Wisłę i pomoc powstańcom, gen. Berling dowódca Pierwszej Polskiej Armii i jednocześnie zastępca Naczelnego Dowódcy WP został ukarany. Odwołano go ze stanowisk i pozbawiono wszelkich funkcji. Oczywiście, w czasie przeprawy Rosjanie nie udzielili

Polakom żadnego wsparcia.

Należy tu wspomnieć, że żołnierze armii Berlinga to w zdecydowanej większości synowie rodzin polskich, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu i Podolu zgotowane Polakom przez morderców ukraińskich zgrupowanych w UPA. Przecież armia polska organizowana w Rosji powstawała głównie na kresach należących do drugiej Rzeczypospolitej i tam zgłaszali się młodzi chłopcy do rzekomo polskiego wojska. Drugi nurt zgłoszeń do tego wojska to Polacy wywiezieni na Syberię przez Rosjan, którym udało się przeżyć i dotrzeć do punktów poboru. W czasie przeprawy przez Wisłę w Warszawie zginęło kilka tysięcy tych chłopców idących na pomoc powstańcom warszawskim. Na wiosnę 1945 roku kiedy poziom wody w Wiśle opadł, ukazał się straszliwy widok zwłok żołnierzy, którzy polegli w czasie przeprawy. Byłem wtedy w Warszawie i przeszedłem na piechotę po obu stronach Wisły miejsca, które były forsowane przez żołnierzy armii Berlinga. Nigdy nie zapomnę przerażającego widoku porozrywanych rozkładających się w wodzie zwłok żołnierzy bohaterów, którzy nieśli pomoc powstańcom Warszawy.

W tym samym czasie, kiedy trwało powstanie warszawskie, pod koniec sierpnia wybuchło powstanie Słowackie. Armia Czer-

wona weszła na Słowację, choć to nie było jej po drodze. Poświęcono życie 80 tysięcy żołnierzy sowieckich, aby pomóc powstańcom słowackim. I tu wydaje się wielce wątpliwe tłumaczenie Rosjan, że Armia Czerwona nie mogła udzielić żadnej pomocy powstańcom warszawskim, ponieważ musiała dokonać przygotowań do następnego natarcia. Życie ludzkie dla Stalina nie liczyło się, ważna była sytuacja polityczna. Warszawa mogła być zdobyta z marszu w ciągu kilku dni przez Armię Czerwoną. Przez pierwszą dekadę sierpnia Warszawa praktycznie była wolna od wojsk niemieckich, o czym wiedzieli doskonale dowódcy wojsk rosyjskich. W pierwszych dniach powstania Warszawa była wolna. Ja wiem to dobrze bo przecież tam byłem. Stalinowi jednak wyzwolenie Warszawy nie mieściło się w strategii nienawiści do Polaków. Zwłaszcza, że nadarzyła się doskonała okazja zniszczenia największego miasta Polski rękami niemieckimi.

Aby nie było argumentu, że Rosjanie nie udzielili żadnej pomocy powstańcom, odbywały się anemiczne naloty samolotów rosyjskich zrzucających znikome ilości broni i żywności. Były to w większości samoloty małe dwupłatowce, bezbronne, tak zwane kukuruźniki, które mogły zabrać na pokład nie wiele. W większości zrzuty te trafiały w ręce niemieckie.

Sporadyczne naloty bombowców rosyjskich omijały znakomicie obiekty, gdzie mieściły się jeszcze siły niemieckie. Wydaje się że istniała niepisana zmowa, między Niemcami i Rosjanami, że nie będą sobie przeszkadzać w zniszczeniu Warszawy. Na dowód istnienia tej niepisanej umowy są zdjęcia lotnicze wykonane przez Niemców klatka po klatce całej Warszawy w czasie powstania. Na zdjęciach tych wyraźnie widać, że obiekty obsadzone przez Niemców, na dachach są oznaczone widocznymi swastykami w kolorze czerwonym. Żaden z tych obiektów nie był zbombardowany. Można było je obejrzeć w stanie nienaruszonym, po tak zwanym wyzwoleniu Warszawy. W ten sposób można było określić gdzie do końca stacjonowały siły niemieckie.

Już w dwie godziny po wybuchu powstania, generał Anders powiedział: „Jest to wielkie nieszczęście dla Warszawy i narodu polskiego”. Anders doskonale znał bolszewików, znał Stalina. Wiedział, że Stalin nie kiwnie palcem, aby pomóc Polakom. Wiedział, że ten bolszewicki złoczyńca zrobi wszystko aby umożliwić hitlerowcom zniszczenie najpiękniejszego miasta polski i pomoże w wymordowaniu setek tysięcy niewinnej ludności. Anders miał rację, tak się stało. Lecz Anders w tym czasie nie był w Warszawie, nie znał nastrojów

ludności, nie zdawał sobie sprawy, że żaden zakaz nie powstrzymałby wybuchu powstania. Wybuchłoby samo spontanicznie i straty byłyby jeszcze większe.

W trakcie powstania polskie siły zbrojne na zachodzie i Brytyjczycy czynili rozpaczliwe wysiłki dla udzielenia pomocy powstańcom. Samoloty startujące z włoskiej bazy przerzutowej Brindisi we Włoszech, aby dokonać zrzutów nad Warszawą musiały przebywać w powietrzu ponad dwanaście godzin pod morderczym ogniem niemieckich dział. Stalin nie zgodził się aby te samoloty mogły lądować i dokonywać tankowania na lotniskach leżących na terenach zajętych przez Rosjan w pobliżu Warszawy. Churchill na wiadomość o tym wpadł w furję wściekłości. Nie wyobrażał sobie aż tak wielkiego cynizmu ze strony sojusznika. Stalin nawet nie zgodził się na lądowanie samolotów uszkodzonych, które nie miały szans na powrót do bazy. Wiele z tych samolotów dalekiego zasięgu nigdy nie wróciło do swych baz. Nad samą Warszawą strącono siedem samolotów. Miejsca katastrof upamiętniają stosowne tablice. Tylko co czwarty samolot dokonywał udanego zrzutu. Średnio udany zrzut odbywał się kosztem jednego samolotu.

Piloci samolotów, którym udało się dokonać udanych zrzutów i wrócić do bazy byli przerażeni

tym co zobaczyli nad Warszawą. Lecąc na wysokości kilku tysięcy metrów widzieli w ogniu płonące ogromne miasto. Krążyli nad Warszawą około godziny aby odnaleźć oznaczone miejsca, gdzie mogliby dokonać zrzutów żeby pomoc nie wpadła w ręce Niemców. Odnalezienie tych miejsc było praktycznie nie możliwe, gdyż płomienie i dym na wysokości, na której były samoloty całkowicie zasłaniały teren miasta. Zniżyli się na wysokość około stu metrów pod morderczy ogień niemieckich dział przeciwlotniczych. Wnętrze samolotów wypełniał gryzący dym. Licząc mosty na Wiśle odnajdywali dzielnicę Żoliborz, która była opanowana przez powstańców. Dokonali zrzutów. Powrót do bazy odbywał się również pod ogniem niemieckich dział przeciw lotniczych, gdyż teren nad którym musieli lecieć w obie strony był opanowany przez Niemców. Powrotne lądowanie odbywało się z wielkim ryzykiem, gdyż kończyła się benzyna.

Już po powstaniu, gdy wróciłem do Warszawy. Na brzegu jeziora Kamionkowskiego w parku Skaryszewskim na Pradze długo jeszcze leżały szczątki wielkiego samolotu brytyjskiego, który został zestrzelony przez Niemców w czasie niesienia pomocy powstańcom warszawskim. Obok były groby lotników, którzy tam zginęli. Na grobach były zawsze świeże kwiaty. Często

odwiedzałem to miejsce gdyż mieszkalem niedaleko, zawsze kreśliłem znak krzyża przed tymi grobami. I myślałem sobie, coś zawinili ci młodzi chłopcy że spotkała ich tak okrutna śmierć. Po czasie ekshumowano ciała tych lotników aby ich pochować w rodzinnej ziemi.

Fundamentalne pytanie stawiane wielokrotnie, czy powstanie Warszawskie było potrzebne? Pozostaje jak dotąd bez jednoznacznej uzasadnionej odpowiedzi. Jeszcze przez wiele lat historycy nie znajdą na nie odpowiedzi wyczerpującej. Każda ocena albo zawiera zbyt dużo emocji, albo nie jest wiarygodna. W tym czasie ja byłem w Warszawie i pamiętam doskonale jakie były nastroje wśród ludności. Uważam, że powstanie nie było do uniknięcia. Żaden rozkaz zakazujący nie powstrzymał by go. Wybuchło by samorzutnie. Nie miejsce tu, na historyczną i polityczną ocenę tego problemu. Na pewno jeszcze długo, kiedy mnie już nie będzie, nie pojawi się jednoznaczna i niepodważalna odpowiedź na to pytanie.

Było potrzebne czy nie. Ale było, i tego faktu już nic nie zmieni. Bezspornym faktem jest, że była to największa bitwa w Europie, oporu podziemia z niemieckim hitlerowskim najeźdźcą. Nie ulega też wątpliwości, że była to największa bitwa Polaków z Niemcami w czasie drugiej wojny światowej.

Na pewno Powstanie Warszawskie było to-

talną klęską koalicji antyhitlerowskiej. Koalicja w ciągu ponad dwu miesięcy nie potrafiła, a może nie chciała? Powstańcom udzielić skutecznej pomocy. Na pewno przy właściwej i możliwej pomocy, jaką mogli udzielić Rosjanie a również i inni członkowie koalicji, powstanie byłoby uwieńczone powodzeniem. O Powstaniu Warszawskim przez ponad sześćdziesiąt lat toczy się dyskusja w kraju i zagranicą. Znany brytyjski historyk Norman Dawies w swoim fundamentalnym dziele „Powstanie 44” o powstaniu Warszawskim, ukazał światu prawdę o tym heroicznym zrywie. Wywiódł udowodnioną tezę, że za klęskę powstania nie są winni powstańcy. Powstańcy walczyli heroicznie nie szczędząc krwi ani życia, jak żadna inna armia na świecie. Sam jednak stwierdza, że bez otworzenia, jak dotąd szczelnie zamkniętych archiwów Brytyjskich i Rosyjskich rzetelny raport o Powstaniu Warszawskim nie jest możliwy do sporządzenia. **Zamknięte archiwa? Zastanawiające?** Jakaż prawda jest tam ukrywana. Czego się wstydzą, czy się boją, Brytyjczycy i Rosjanie? Nasuwa się uzasadnione podejrzenie, że ich sumienie nie jest tak kryształowo czyste jak starają się wmówić całemu światu.

W czasie sześćdziesięciu trzech dni walki o Warszawę powstańcy wiedzieli, że walczą nie tylko o swoje ukochane miasto, ale walczą przede

wszystkim o przyszłość wolnej i suwerennej ojczyzny. Beznadziejna heroiczna walka z Niemcami, w obliczu stojącego bezczynnie po drugiej stronie Wisły członka wielkiej koalicji antyhitlerowskiej zasługuje na najwyższą ocenę i największe uznanie. Koalicjant ten był w stanie przynieść w każdej chwili skuteczną pomoc. Rosjanie jednak tej pomocy nie udzielili. Poświęcenie, determinacja i heroiczna walka powstańców tym bardziej zasługuje na uznanie.

Powstańcy warszawscy, którzy przeżyli tę heroiczną walkę, musieli czekać aż ponad dwa pokolenia, aby powstało Muzeum Powstania Warszawskiego. Czy nie jest to zadziwiające? Komu z władz Polski zależało na tym, aby jak najgłębiej ukryć prawdę o powstaniu. Nie będę tu rozważał kto i dlaczego tak długo blokował tę decyzję. Ważne jest, że znaleźli się ludzie, którzy potrafili doprowadzić jeszcze i tę walkę do zwycięstwa. Można mieć zastrzeżenia dlaczego akurat w tym miejscu i w takim obiekcie zlokalizowano muzeum powstania, ale ważne jest, że ono jest. Po podjęciu pozytywnej decyzji muzeum powstało w bardzo krótkim czasie. Znalazły się tysiące ludzi, którzy w bezinteresowny sposób pomagali go uruchomić. Zbierali eksponaty oddawali najcenniejsze pamiątki, aby wzbogacić muzealne ekspozycje. Do dziś napływają cenne eksponaty. To muzeum

jest zupełnie inne niż wszystkie muzea w Polsce i na świecie. Ono tętni życiem, wprowadza zwiedzających w atmosferę walk. Odtwarza bohaterstwo młodych ludzi, żołnierzy, gotowych na wszystko dla zwycięstwa. Zwiedzającym wydaje się, że są w środku bitwy o wielką sprawę. Bogactwo eksponatów potęguje wrażenia. Filmy światło i dźwięk stwarzają realny świat walk powstańczych. Niezwykle ważnym jest odtworzenie wielu naturalnych fragmentów i sytuacji w jakich walczyli i pracowali powstańcy. Uruchomiono drukarnię, która pracowała w czasie powstania. Odtworzono fragment kanałów ściekowych, którymi przechodzili powstańcy z jednego krańca Warszawy na drugi. Tu jednak miałbym pewne zastrzeżenia. Fragment kanału jest piękny, czyściutki, aż chce się do niego wejść. Rzeczywistość jednak była inna, była straszna. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy przeszli kanałami ze Starego Miasta do Śródmieścia, ze śródmieścia na Mokotów. Nie miałem okazji w czasie powstania przechodzić kanałami. Ale rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy przeszli tą straszną drogę męki. Po wojnie pracowałem przy budowie trasy WZ i wtedy przy budowie tunelu wszedłem do kanału, aby przekonać się jak wyglądała ta straszliwa podróż. Jest to straszne. Obrzydliwy odór, smród, nieczystości płynące sięgały często powyżej kolan. Ściany mokre

oblepione nieczystościami. Płynące fekalia z bocznych kanałów spływały na przechodzących. Ciemności. Błądzenie po ślepych labiryncie. Wchodząc do kanału miało się świadomość schronienia przed bombami, spadającym gruzem z palących się kamienie oraz ochronę przed ogniem pocisków. Ale po wejściu zaczynał się inny koszmar. Niemcy często wrzucali do kanałów karbid, który zanurzony w wodzie wydzielał trujący gaz. Niejednokrotnie musiało się przechodzić po zwłokach tych, którzy idąc tędy wcześniej wyzionęli ducha. Myślę że obok wejścia do odtworzonego kanału powinien być odpowiedni opis. Jak rzeczywiście wyglądało to przejście kanałem. Koniecznie należy obejrzyć film reż. Wajdy „Kanał. Na filmie tym reżyser pokazał jak wyglądała ta zbawienna podróż do innego świata. Ilu ludzi nie doszło do wyjścia z kanału i zakończyło tam życie nikt nie policzył.

Muzeum jest świetnie zarządzane. Wspaniałym pomysłem jest stworzenie historii mówionej. Zarchiwizowano tysiące wypowiedzi powstańców i ludzi, którzy przeżyli powstanie. Są to cenne dokumenty, które pozostaną na zawsze. Przecież Ci ludzie niedługo odejdą na wieczną wartę. I już nigdy nie będą mogli opowiedzieć co przeżyli w czasie powstania warszawskiego.

Czy było powstanie potrzebne? Odpowiedzi można by szukać wśród zwiedzających

muzeum powstania warszawskiego. Żadne muzeum w Polsce nie cieszy się tak wielką frekwencją. Do chwili obecnej odwiedziło go już ponad dwa miliony osób. Często tam chodzę, nie oglądam eksponatów bo znam je prawie na pamięć. Ale przyglądam się zachowaniom i twarzom zwiedzających, szczególnie młodych ludzi. Ta rozbrykana i nieraz roześmiana młodzież, nagle poważnieje. Pełna zadumy i powagi ogląda eksponaty. Słucha wybuchów, strzałów, odgłosów zacieklej walki. Ogląda filmy, czyta informacje. Na ich twarzach widać skupienie, głęboką powagę i szacunek. Szacunek przecież dla ich rówieśników, którzy podjęli tak heroiczną walkę. Widać, że ci ludzie ogromnie przeżywają bezpośrednie spotkanie z atmosferą walk powstańczych. Przyjeżdżają z całej polski. A w wielu przypadkach z zagranicy. Byłem kiedyś świadkiem, jak pod muzeum podjechał autobus. Wysiadło z niego kilkudziesięciu chłopców w harcerskich mundurach. Na komendę wyprężeni stanęli w szeregu. Było baczność, kolejno odlicz. Było na prawo patrz. Spocznij, a potem w szyku skoordynowanym weszli na ekspozycje Muzeum.

Czasami rozmawiam z młodymi ludźmi, którzy zwiedzają muzeum. Słuchają w skupieniu jak im opowiadam co przeżyłem w powstaniu. Jak przebiegały walki. Jak zdobywano „PASTĘ”. Jak była zorganizowana obrona. Pytaniom zazwyczaj

nie ma końca. Niejednokrotnie jestem zaskoczony, jak niektórzy młodzi ludzie przychodzą do muzeum przygotowani. Zdarza się, że i ja nie mogę znaleźć odpowiedzi na niektóre pytania. Wbrew wielu opiniom o dzisiejszej młodzieży, uważam, że nasza młodzież jest wspaniała. I gdyby było trzeba stanęli by w walce jak ich poprzednicy powstańcy.

Kto dał siłę powstańcom aby podjęli i wytrwali w tak ofarnej walce? Myślę, że dał na to odpowiedź Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej przemawiając 2 sierpnia 2009 roku w Muzeum Powstania Warszawskiego w 65 rocznicę powstania powiedział:

...Mówiąc o Powstańcach Warszawskich, o ludziach młodych, musimy wspomnieć o tym, kto ich wychował, kto z tych ludzi uczynił żołnierzy bohaterskiej armii. Kto uczynił ich patriotami nie cofającymi się przed niczym? Trzeba sobie powiedzieć jasno: uczyniła to Druga Rzeczpospolita. Uczyniło to państwo, które miało na sumieniu swoje grzechy ale na pewno nie popełniało jednego - nie zapominało, że to właśnie Rzeczpospolita jest dla nas. Jej obywatele, największym dobrem; że tylko w ramach takiej wspólnoty i jako naród, i każdy oddzielnie może w sposób prawidłowy i wolny się rozwijać. Taka Polska była przedmiotem marzeń tych dziewcząt i chłopców, którzy 1 sier-

pnia 1944 poszli w bój.

Bardzo wielu z nich zginęło. Byli tacy, którzy zginęli już po wojnie, walcząc w drugiej konspiracji; którzy zginęli z wyroków sądów państwa, które śmiało też nazywać się Polską. Ale tutaj, na tym placu przed Muzeum Powstania Warszawskiego muszę stwierdzić z olbrzymią satysfakcją, że tysiące z państwa drogie Panie i drodzy Panowie, dożyło jednak Polski wolnej, dożyło roku 1989. (...) Powstał mit, który - mam nadzieję - w naszej historii będzie trwał wiecznie. I za to pragnę Państwu, Powstańcom Warszawy, najserdeczniej podziękować.

Słuchając tego przemówienia myślałem o swoim ojcu, który codziennie dawał przykłady prawego życia, patriotyzmu i miłości do ojczyzny. Walczył czynnie o odzyskanie niepodległości, oddał wielką daninę krwi swojemu narodowi. I przeżył życie jako inwalida wojenny z dużą utratą zdrowia. Zawsze wiedział jak się zachować. Mówił mi: jak nie wiesz jak się zachować. Zachowaj się przyzwoicie.

Na jednej ze stacji metra w śródmieściu Warszawy otwarto wystawę „Amulety 44”. Są tam eksponowane wspomnienia dziesięciu kobiet, które jako młode dziewczyny brały udział w powstaniu. Ich obecne zdjęcie, krótki opis powstańczej działalności. Zdjęcia amuletu. W Warszawie jest ogromny natłok reklam,

zdjęć i innych napisów do czytania i oglądania na każdym kroku. Ale nigdzie nie ma tak licznej i stałej grupki przechodniów zatrzymujących się i z powagą czytających podpisy i oglądających te zdjęcia.

Chodzimy po pięknej odbudowanej Warszawie. Po Starym Mieście, po chodnikach po parkach, oglądamy pięknie odnowiony trakt królewski i nie zdajemy sobie sprawy, że chodzimy po wielkim świętym cmentarzu, gdzie każda pięćdziesiątka ziemi kryje w sobie krew i szczątki naszych przodków. Przodków, którzy oddali swe życie za to, żebyśmy my mogli żyć w wolności i pokoju. Ostatnio w Powstaniu Warszawskim zginęło kilkaset tysięcy ludzi. Przecież trzeba było gdzieś pochować tysiące poległych. Pamiętam dokładnie kiedy po powstaniu wróciłem do Warszawy. Nie było skrawka ziemi gdzie nie było by grobów. Parki zamieniły się w ogromne cmentarze. Wszędzie groby, groby, groby...

Mówiąc o powstaniach w Warszawie nie można zapominać o powstaniu w getcie warszawskim. Ile osób zginęło na terenie getta tego nikt nie policzył. Ich krew i szczątki też zachowała ziemia warszawska. Wiemy tylko ilu było Żydów w Warszawie przed wojną. Co trzeci mieszkaniec Warszawy był Żydem. Najpiękniejsza i największa Synagoga w Europie była przecież też w Warszawie, którą w bestialski

sposób zburzyli Niemcy. Ci Żydzi byli także warszawiakami urodzili się i żyli w Warszawie. Zginęli na terenie Warszawy albo w innych obozach zagłady. Bardzo niewielu ich przeżyło ludobójstwo jakie zgotowali warszawiakom Niemcy.

Powstanie warszawskie dało impuls do wielu pieśni, marszów i utworów poetyckich. Przytoczę tu tylko jeden z nich, wiersz Józefa Szczepańskiego pseudonim Ziutek /batalion „Parasol”/

Czerwona zaraza

Czekamy na ciebie - czerwona zarazo
Byś wybawiła nas od czarnej śmierci
Byś nam, Kraj przedtem rozdarłszy na części
Była zbawieniem - witanym z odrazą.

Czekamy na ciebie – ty potęgo tłumu
Zbydlęciałego pod twych rządów knutem
Czekamy ciebie, byś nas gniotła butem
Swego zalewu i hasel poszumem.

Czekamy na ciebie nasz odwieczny wrogu –
Morderco krwawy tłumów naszych braci,
Czekamy ciebie – nie żeby ci płacić
Lecz chlebem witać na zburzonym progu.

Żebyś ty wiedział - nienawistny zbawco –
Jakiej ci śmierci życzymy w podzięcie
I jak bezsilnie zaciskamy ręce
Pomocy prosząc - podstępny oprawco,

Żebyś ty wiedział, jak to strasznie boli
Nas – dzieci Wolnej, Niepodległej, Świętej
Skuwać w kajdany łaski twojej przekłętej
Cuchnącej jarzmem wiekowej niewoli...

Żebyś ty wiedział naszych dziadów kacie
Sybirskich więzień ponura legendo
Jak twoją dobroć kląć tu wszyscy będą
Wszyscy Słowianie – wszyscy twoi bracia.

Legła twa armia zwycięska, czerwona
U stóp lun jasnych płonącej Warszawy
I ścierwią duszę syci bólem krwawym
Garstki szaleńców, co na gruzach kona...

Czekamy ciebie - nie dla nas żołnierzy
Dla naszych rannych - mamy ich tysiące
I dzieci tu są i matki karmiące,
I po piwnicach zaraza się szerzy...

Miesiąc już mija od powstania chwili
Łudzisz nas czasem dział twych łomotem
Wiedząc, jak ciężko będzie znowu potem
Powiedzieć sobie, że znów z nas zakpili,

Czekamy ciebie - ty zwlekasz i zwlekasz
Ty się nas boisz - i my wiemy o tem
Chcesz, byśmy wszyscy tu legli pokotem
Naszej zagłady pod Warszawą czekasz.

Nie nam nie zrobisz – masz prawo wybierać
Możesz nam pomóc, możesz nas wybawić
Lub czekać dalej i śmierci zostawić
Śmierć nie jest straszna – umiemy umierać

Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły
Nowa się Polska - zwycięska narodzi
I po tej ziemi nie ty będziesz chodzić
Czerwony władco rozbestwionej siły.

Uważam jednak, że gdyby nie Powstanie
Warszawskie gdyby nie fenomen Polskiego
Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Polska
nie byłaby taka jaka jest obecnie. Nie byłoby
„SOLIDARNOŚCI”, nie byłoby odzyskania
niepodległości w 1989 roku. Republiki takie
jak: Czechy, Słowacja Litwa, Łotwa, Estonia,
Białoruś i Ukraina nie uzyskałyby tak szybko
niepodległości. Mur berliński długo czekałby
jeszcze na zburzenie. Może nie bylibyśmy w NA-
TO, może nie bylibyśmy w Unii Europejskiej?
A dobrobyt u nas byłby taki jak na Ukrainie
i Białorusi. Od wielu lat nurtuje mnie jedna myśl,
a właściwie jedno pytanie. Od powstania minęło

już ponad 65 lat. A nikt z władców tego prawie czterdziestomilionowego kraju a szczególnie z władców stolicy Warszawy nie zainteresował się i nie polecił nikomu, aby dokonać bilansu strat jakie poniosła Warszawa w czasach tej straszliwej wojny wiadomo przez kogo wywołanej. Aby winowajcom wystawić rachunek.

Dysponuję zbyt małą wiedzą w tej dziedzinie, aby dokonać analizy przyczyn, przebiegu i skutków Powstania Warszawskiego. Wielu historyków i wielkich autorytetów zajmuje się tym od dziesięcioleci lecz jednoznacznej oceny nie widać. I chyba jej długo nie będzie. Zajmę się więc tym co ja przeżyłem w tym strasznym okresie mojego życia.

Godzina „W”

Wtorek pierwszy sierpnia, był pięknym, bezchmurnym, słonecznym, ciepłym dniem. W poniedziałek i we wtorek już od rana pojawiło się w Warszawie bardzo wielu młodych mężczyzn. Widoczni byli na ulicach placach, w tramwajach. Nie była to młodzież roześmiana i rozbawiona. Na twarzach było skupienie, powaga i koncentracja. We wtorek rano, ojciec jak zwykle poszedł do pracy. Wszędzie wyczuwało się napięcie i zdenerwowanie. Po rozniesieniu ładunku tajnych dokumentów pod umówione adresy, jak co dzień, szedłem powoli do domu ulicą Rakowiecką od ulicy Puławskiej w kierunku Alei Niepodległości. Była godzina około 17. W pewnym momencie usłyszałem strzały. Kanonada nasilała się. Przy Alei Niepodległości, niedaleko Rakowieckiej, naprzeciwko Szkoły Głównej Handlowej był niemiecki „Soldatenheim”, rodzaj luksusowego klubu z hotelem i restauracją dla oficerów niemieckich. Obecnie po tym budynku nie ma śladu. Grupy uzbrojonych młodych ludzi z kilku stron atakowały siedzibę tego klubu.

A więc zaczęło się. Godzina „W”. Powstanie Warszawskie stało się faktem. Pobieglem do domu. Nie było to łatwe, grupki powstańców formowały się wokół atakowanego „Soldatenheimu”. Kanonada stale wzmagala

się, już byli pierwsi ranni powstańcy, młodzi chłopcy. Niemcy zabarykadowali budynek, bronili się zaciekle, byli dobrze uzbrojeni, czego nie można było powiedzieć o naszych chłopcach. Broń i to przeważnie krótką nie każdy posiadał. Automatów czy karabinów u naszych prawie nie było widać. Instynktownie chciałem się przyłączyć do atakujących powstańców. Podbiegłem do kilku z nich ale dowodzący nimi starszy mężczyzna huknął na mnie: „Nie przeszkadzaj, nie płacz się tutaj”. Tramwaje stanęły. Ruch uliczny zamarł. Ja, chociaż bronią i granatami potrafiłem się posługiwać dobrze, nie mogłem z gołymi rękami jako nieznany przechodzień włączyć się do akcji, nikogo z tych ludzi nie znałem. W ciągu ponad dwu miesięcy pobytu w Warszawie nie miałem okazji nawiązać samodzielnie kontaktu z podziemiem. Byłem całkowicie zajęty kolportowaniem podziemnej prasy pomagając memu ojcu i ojcu chrzestnemu Lucjanowi Sucheckiemu. Teraz pozostało mi tylko koniecznie przedostać się do domu. Chociaż nie było to daleko, pokonanie tej odległości nie było łatwe. Wokół bieganina, okrzyki rozkazów, strzelanina i wybuchy granatów. Powoli kryjąc się w bramach i w załomkach budynków, zbliżałem się do naszego domu. W pierwszych chwilach nie było nigdzie widać Niemców. Zamknęli się w obleganym budynku. Dopiero po jakimś

czasie wzdłuż ulicy Rakowieckiej, od strony koszar położonych na przeciwko więzienia, gdzie zawsze było duże zgrupowanie wojska niemieckiego, zaczęły skokami zbliżać się do oblężonego Soldatenheimu grupy niemieckich żołnierzy. Zostali zaatakowani z kilku stron przez powstańców. Wywiązała się zażarta walka. Strzelanina i wybuchy granatów nasilały się. Nie miałem co robić w tym zamieszaniu. Musiałem ryzykować. Skokami poprzez podwórka i ogrody działkowe, dopiero w późnych godzinach udało mi się dostać do domu, już się ściemniało. W domu wszyscy byli przerażeni, nie było przecież mnie i ojca. Nikt nie wiedział gdzie jesteśmy. Kanonadę i wybuchy słyszać było już ze wszystkich stron. Do rana nikt z nas nie spał. Zaryglowaliśmy bramę od strony ulicy i furtkę od ogrodu. Pani Hass, właścicielka domu, starsza kobieta była śmiertelnie przerażona. Cały następny dzień przesiedzieliśmy w domu nie wiedząc co dzieje się w mieście. Telefon już nie działał. Nigdzie nie wychodziliśmy, jedyną informacją były słyszane wybuchy i strzelanina.

Według tych odgłosów orientowaliśmy się gdzie trwają walki. W czwartek bez zmian. Dopiero w piątek koło południa zatrzymał się u nas kilkusobowy oddział powstańców. Sami nie wiedzieli wiele. Ale dowiedzieliśmy się, że prawie cała Warszawa jest opanowana przez

naszych. Niemcy bronią się tylko w nielicznych punktach oporu. Na Mokotowie trwają zaciekle walki wokół koszar przy Rakowieckiej. Również na Wierzbnie jest silny ośrodek niemieckiego oporu. Ale zaczyna funkcjonować nasza administracja i żandarmeria. Silne walki trwają na Starym Mieście, na Żoliborzu i w Śródmieściu. Te informacje bardzo podniosły nas na duchu. Jednak ojca nie było i nie wiedzieliśmy co z nim się dzieje. Martwiliśmy się o niego bardzo. Mogło przecież się zdarzyć, że nie ujrzymy go już nigdy więcej. Nikt nie mógł przewidzieć i nikt nie zdawał sobie sprawy jak długo to potrwa i jaki będzie finał powstania.

Cały czas toczyła się we mnie wewnętrzna walka. Zamknąłem się w sobie, z nikim nie rozmawiałem. Pomimo, że powstańcy przepędzili mnie od zdobywania Soldatenhaimu, wewnętrzny głos nakazywał mi jednak stanąć do walki z bronią w ręku. Ale żadnej broni przecież nie miałem. Myśli jak ogniste błyskawice paliły moją głowę. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Przecież mój ojciec jako ochotnik bronił granic ojczyzny w czasie pierwszej wojny. A ja mam się schować za spódnicę mamy i beczynn timer patrzeć jak moi rówieśnicy walczą o sprawiedliwe istnienie naszej stolicy? Czy nie powinienem pójść śladami mojego ojca?

Stale narastała we mnie decyzja przyłą-

czenia się do powstańców. Pójdę i wstąpię na ochotnika do pierwszego napotkanego oddziału i nie dam się odpędzić. Ale za chwilę powracała myśl, mam zostawić mamę i małą siostrę same? Czulem się pod nieobecność ojca w jakiś sposób za nie odpowiedzialny. Pamiętam jak poszedłem w czasie zagłady Huty Pieniackiej bez wiedzy rodziców zobaczyć czy jeszcze żyją moi dziadkowie. Rodzice wtedy strasznie to przeżyli. Teraz na pewno byłoby jeszcze gorzej.

Dopiero w piątek wieczorem pojawił się tata. Umęczony, strasznie brudny i obdarty. Przedostawał się przecież do nas, aż ze Starego Miasta. Byliśmy szczęśliwi, że dotarł do nas cały i zdrowy. Cały czas słyhać było strzelaninę i wybuchy. Teraz postanowiłem, że powiem rodzicom gdzie idę i nie ugnę się przed żadnymi protestami. Powiedziałem twardo i zdecydowanie:

- Idę do powstańców. Mama i ojciec znieruchomieli. Twarze ich zamarły i zrobiły się białe. Mama stanęła w drzwiach, jej rozpostarte ręce oparte o ściany zagrodziły mi drogę.

- Przejdziesz tylko po moim trupie. Powiedziała rozpaczliwie i zdecydowanie. Ojciec przez chwilę milczał. Stał przede mną. Zdjął marynarkę, potem koszulę. W pierwszej chwili nie wiedziałem co to znaczy?

- *Popatrz na mnie! Zobacz jak wyglądam.*

Powiedział.

Stałem jak wryty zdumiony i patrzyłem na niego. Chociaż widziałem go nieraz z odkrytym torsem to jednak teraz dostrzegłem z całą wyrazistością jego rozległe sine blizny na prawym ramieniu. Dół po strzaskanym obojczyku, prawej łopacie i dwóch brakujących żebrach. Bezwładna zwiotczała prawa ręka sina zwisała nie ruchomo, tylko zaciśnięta nie normalnie kurczowo sina dłoń, drgała nerwowo. Ojciec mówił:

- Naszej ojczyźnie oddałem wielką daninę krwi za nas wszystkich. Spróbuj jeden dzień przeżyć bez prawej ręki a zrozumiesz jakie mam życie. Dwóch moich braci zaginęło na wojnie, trzeci nie żyje. Mego ojca zabrali Rosjanie. Stracił zdrowie, po powrocie zmarł. Dwóch braci twojej mamy aresztowali bolszewicy i do dziś няма od nich żadnych wieści. Ty zostałeś jedyny z naszego rodu. Musisz..., musisz, żyć. Będziemy pomagać powstańcom tyle na ile będziemy mogli. Dopóki jednak bije moje serce nie pozwolę Ci iść pod kule.

Zrobiło mi się gorąco jak tego słuchałem. Nie miałem siły przeciwstawić się mojemu ojcu, którego zawsze uważałem za wielki autorytet.

Na Starym Mieście i w Śródmieściu cały czas w różnych miejscach trwały ciężkie walki. Pod koniec tygodnia, strzały i wybuchy zaczynały przygasać. Prawie cała Warszawa była

opanowana przez powstańców. Pojawił się ruch na ulicach. Wiedzieliśmy, że jest uruchomiona powstańcza stacja radiowa, ale żadne radio nie było w naszym zasięgu. Informacje przebiegały tylko z ust do ust. Zaczynało się wydawać, że pojawiają się oznaki normalizacji. Powoli ośrodki oporu niemieckiego były likwidowane, lecz w wielu miejscach bez ciężkiej broni opanowanie utrzymanych przez Niemców obiektów było niemożliwe. Nie były zdobyte koszary i więzienie przy ulicy Rakowieckiej. Zaczynało pojawiać się uczucie ulgi. Ale szybko okazało się, że to złudzenie. Niemcy z kilku stron podciągnęli poważne posiłki na przedmieścia Warszawy. Na niebie pojawiły się niemieckie samoloty.

Sytuacja zaczęła się zmieniać na naszą niekorzyść. Lotniska wojskowe na Okęciu i na Bielanach zostały utrzymane w rękach niemieckich. Skutek był taki, że te same niewielkie eskadry w ilości kilku samolotów, po zrzuconiu bomb, mogły dokonywać następnego nalotu w ciągu kilkunastu minut. Krążyły stale pomiędzy lotniskiem a miejscem bombardowania. Samoloty szturmowe nurkujące nadlatywały stadem gęśmiem. Prowadzący kołysaniem skrzydeł dawał sygnał do ataku, wchodził w lot nurkowy a za nim bombowce następne. Po kolei pikując na cel zrzucały

bomby. Przeszywający, ostry gwizd odłączonych od samolotu zbliżających się do celu bomb i wielokrotny huk eksplozji targały powietrzem. W czasie lotu nurkowego samoloty włączały specjalne syreny, których przerażający ryk rozdzierał uszy i stwarzał dodatkowe przerażenie. Po zrzućeniu bomb, już z niewielkiej wysokości, samoloty lotem koszącym ostrzeliwały z karabinów maszynowych wszystko co się ruszało.

W czasie pierwszych nalotów padaliśmy na ziemię twarzami w dół kryjąc się gdzie się dało, nie widząc co dzieje się w górze. Wydawało się, że każda bomba leci prosto na nas. Ale człowiek „istota rozumna,” do wielu zagrożeń potrafi się przystosować. Potem kładliśmy się twarzą w górę i w ten sposób mogliśmy obserwować, w którym miejscu i na jakiej wysokości bomby odrywają się od skrzydeł samolotu. To pozwalało w miarę określić gdzie spadną. Okazało się, że nie taki diabeł straszny jak go malują. Bomby przeważnie spadały daleko od nas, ale detonacje za każdym razem były potężne, uszy zatykać trzeba było. Woda i prąd elektryczny dawno się skończyły. Mieliśmy zapas wody przygotowany, ale wiadomo było, że niedługo się skończy. Świece i karbidówki też nie starczą na długo. Myślę, że teraz mało kto wie co to jest karbidówka. Otóż jest to takie proste urządzenie, w którym wewnątrz znajduje się karbid /węglan wapnia/ i zbiorniczek

wody. Woda kapiąca na karbid wytwarzała palny gaz, który wydobywał się przez odpowiedni otwór. Zapalony gaz daje niewielki płomień. Urządzenie bardzo pożyteczne w czasie okupacji, kiedy dostawy prądu były bardzo nieregularne. Siedzieliśmy w nocy przy karbidówce. O regularnym śnie nie było mowy. Odgłosy wystrzałów i wybuchów co chwila wstrząsały powietrzem. W pewnej chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Ojciec otworzył. Ukazały się trzy nędzne postacie. Brudne wynędzniałe i obdarte. Okazało się, że są to Żydzi, którym udało się uciec z więzienia przy ulicy Rakowieckiej. Opowiadali straszne rzeczy, jak Niemcy torturują wziętych do niewoli powstańców podejrzanych o pełnienie wysokich funkcji w konspiracji. Żydzi pracowali przy najgorszych pracach. Co jakiś czas rozstrzeliwano schwytanych powstańców i więźniów. Żydowskie komando pracowało przy uprzątnięciu i wywożeniu zwłok. Następnie również co jakiś czas rozstrzeliwano komando dla zlikwidowania świadków. Po zlikwidowaniu komanda, tworzone następne z więzionych Żydów. Uciekinierzy wiedzieli, że niedługo będą też rozstrzelani. Odpoczęli i dostali coś do jedzenia z tego co jeszcze mieliśmy. Chcieli koniecznie nawiązać kontakt z powstańcami. Rano przed świtem poszli dalej.

Z każdym dniem naloty nasilały się. Niem-

cy podciągnęli pod Warszawę ciężką artylerię i działa kolejowe. Teraz huk był coraz potężniejszy. Dzień i noc rozdzierał uszy. Pociski padały coraz bliżej. Z okienek strychu naszego domu było widać jak były ostrzeliwane wielopiętrowe domy w Alei Niepodległości. Pocisk z działa kolejowego potrafił zdmuchnąć z kamienicy za jednym zamachem dwa trzy piętra. Detonacja takiego pocisku była straszna, huk urywał głowę.

Ostrzał wzdłuż Alei Niepodległości trwał nieprzerwanie. W wielu miejscach sytuacja była taka, że po jednej stronie Alei byli Niemcy a po drugiej powstańcy, w innych odwrotnie. Były też takie miejsca, gdzie powstańcy byli po obu stronach. Aby było możliwe przedostanie się na drugą stronę Alei, przekopywano zygzakowate rowy przez jezdnię. Były one na tyle głębokie, aby w czasie przejścia na drugą stronę, schylona głowa nie wystawała ponad powierzchnię jezdni. Przejeżdżający czołg wzdłuż Alei nie był groźny dla osób ukrytych w rowach, atakował cele zajęte przez powstańców. Do kopania tych przejść potrzebna była większa ilość ludzi. Pomimo wielkiego sprzeciwu mamy, zgłosiliśmy się z ojcem na ochotnika do tej pracy. Praca była mordercza, przeważnie na kolanach. Wychylenie głowy ponad powierzchnię jezdni groziło śmiercią. Co chwila w czasie kopania napotykaliliśmy na przechodzące pod ziemią

wzdłuż jezdni przewody i rury, które trzeba było omijać najczęściej w dół. Kopać mógł tylko jeden człowiek, więcej się nie mieściło, trzeba było często się zmieniać. Na niektórych budynkach w Alei, zajętych przez Niemców na dachach zainstalowali się snajperzy. Polowali na tych, którzy starali się przechodzić na drugą stronę ulicy. Kopanie rowów w ich zasięgu nie było możliwe. Czołgi i wozy pancerne szeroką Aleją Niepodległości mogły bezkarnie przejeżdżać. Nie zapuszczały się nigdy w wąską ulicę Madalińskiego ani Kazimierzowską, mogły tam być potraktowane butelkami z benzyną. Czołgi pojawiały się coraz częściej. Nadjeżdżały od koszar z ulicy Rakowieckiej. Codziennie ustawiał się ten sam tygrys na skrzyżowaniu Alei Niepodległości i ulicy Madalińskiego. Obracając armatę o dziewięćdziesiąt stopni strzelał po kolei w każdą z ulic. Akurat byłem na strychu naszego domu, wyglądałem przez niewielkie okienko na ulicę Madalińskiego, gdy tygrys huknął z armaty. Pocisk przeleciał wzdłuż naszej ulicy w niewielkiej odległości od okna, przez które wyglądałem. Padłem ogłuszony. Odrzuciło mnie o dwa metry do tyłu od okna. W pierwszej chwili wydawało mi się, że jestem ranny w głowę. Nie wiem po jakim czasie odzyskałem przytomność. Głowa była jednak cała, słuch wrócił dopiero za jakiś czas. Niemieckie szturmowe oddziały

zaczęły zdobywać dom po domu, ulicę po ulicy. Nasi chłopcy ustępowali ponosząc coraz większe straty.

Po drugiej stronie naszej ulicy zorganizowano prowizoryczny szpital - dwóch lekarzy i pielęgniarki. Pracowali dzień i noc, pomagała im nasza mama, zaś ojciec i ja nosiliśmy rannych, wykonywaliśmy zwykłe prace. Niemcy zdobywali coraz większy teren Mokotowa. Oddziały niemieckie chodziły od domu do domu. Wybierali mężczyzn i rozstrzeliwali na miejscu. Prowizoryczny szpital po kilku dniach został przeniesiony w bardziej bezpieczne miejsce.

Trylogia Sienkiewicza ratuje mi życie

Książką, z którą prawie się nie rozstawałem była „W Pustyni i w Puszczy” Sienkiewicza, którą ojciec mi kupił jeszcze przed wojną. Znając moje zamiłowanie do Sienkiewicza w prezencie za ukończenie siódmej klasy, ojciec kupił mi trylogię Sienkiewicza. Nie wiem w jaki sposób ją zdobył, gdyż za okupacji takie wydawnictwa były zakazane. Było to wydanie pięknie oprawione w skórę. Posiadanie takich książek w tym czasie było niebezpieczne. Za Sienkiewicza można

było wylądować w obozie koncentracyjnym. Po kilkunastu dniach nasza okolica była już prawie całkowicie opanowana przez Niemców. Musiałem książki Sienkiewicza gdzieś dobrze schować. W końcu podwórka była studzienka wodociągowa przykryta pokrywą. Oczywiście była sucha, wody w niej nie było. Opakowałem te książki dobrze w ceratę, aby nie zamokły odsunąłem pokrywę, wszedłem po klamrach i już chciałem je umocować tak, abym mógł wyjść i zamknąć pokrywę. W tym momencie usłyszałem wrzaski Niemców. - Heraus! - wychodzić! Wyrząłem kątem oka zza krawędzi studni. Kilkunastu uzbrojonych żołdaków wymachiwało bronią i sprawdzało czy nie ma w domu mężczyzn. Zachowywali się niezwykle brutalnie i agresywnie. Była oczywiście mama i siostra oraz właścicielka domu, staruszka Pani Hass. Kobietom kazali wejść do domu, ojca ze względu na widoczne inwalidztwo też zostawili. Wybiegli z wrzaskiem wymachując automatami. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że gdyby mnie zobaczyli nie pomogłaby nawet późniejsza data urodzenia w mojej Ausweisschule /legitymacji szkolnej/. Gdyby nie trylogia Sienkiewicza prawdopodobnie nie mógłbym już napisać tego opowiadania. Mężczyzn wybranych w okolicznych domach poprowadzili w kierunku ulicy Kazimierzowskiej.

W domu na rogu ulicy Madalińskiego i Kazimierzowskiej na podwórku dokonywali egzekucji, bez sądu bez jakiegokolwiek udowodnienia winy. W kilku turach Niemcy, na tym podwórku łącznie rozstrzelali ponad 60 osób.

Oczywiście tej kamienicy teraz już nie ma. Jak i innych domów w tej okolicy zburzonych przez Niemców. Lecz na ścianie nowego domu przy ulicy Madalińskiego 39/43 jest wmurowana tablica świadcząca o tej tragedii. W miarę swoich możliwości przychodzę tam zawsze w sierpniu, by pokłonić się moim bestialsko zamordowanym, niewinnym sąsiadom i zmówić za nich modlitwę, wśród których ja nie znalazłem się tylko przez przypadek.

Sytuacja zaczynała być tragicznie niebezpieczna. W naszej okolicy całkowicie panowali Niemcy. Bombardowania koło nas ustały, co oznaczało, że w pobliżu nie ma już punktów oporu. Ale gdzieś dalej stale było słychać wybuchy bomb. Od czasu do czasu po-jawiał się samolot i zrzucał ulotki, w których Niemcy wzywali mieszkańców do wychodzenia z białą flagą z miasta i gromadzenia się w obozie przejściowym w Pruszkowie. Kto pozostanie w Warszawie będzie rozstrzelany a miasto zostanie całkowicie zrównane z ziemią. Wybuchy i strzelanina były słyszalne z dalszych

odległości. Nie mieliśmy już żadnego kontaktu z powstańcami. W pewnym momencie coraz częściej słyszałem trzaski podobne do rozbijanego szkła. Na początku nie mogłem zidentyfikować tych odgłosów. Ale po wejściu na dach okazało się, że w Alei Niepodległości pali się większość wysokich kamienic a te odgłosy to brzęk tłukących się szyb wylatujących z palących się okien. Z dachu naszego domu widzieliśmy, jak kiluosobowe drużyny żołdaków niemieckich, podchodzą pod każdy dom. Po chwili wrzucają granaty przez okna parteru i miotaczami płomieni podpalają dom po domu. Wyglądało na to, że i na nasz dom, też przyjdzie niedługo kolej.

W ogrodzie już wcześniej wykopaliśmy z ojcem ziemiankę. Ziemianka to taki prostokątny dół, głęboki na półtora metra, szeroki ponad metr, długi ponad trzy metry tak, aby w razie niebezpieczeństwa wszyscy się zmieścili. Ziemiankę przykryliśmy balami i papą, aby nie przesiąkała woda, a potem strop grubo przysypaliśmy ziemią. Wejście można było łatwo zamknąć zbitą z desek pokrywą i też przysypać ziemią. W czasie bombardowań lub ostrzału artyleryjskiego w tej ziemiance można było w miarę bezpiecznie się ukryć. Nie mieliśmy już żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie wiedzieliśmy co dzieje się w Warszawie, gdzie są Niemcy a gdzie nasi. Widzieliśmy z daleka, że

Niemcy coraz częściej wyrzucali ludzi z domów i wyprowadzali nie wiadomo dokąd. Stosowali barbarzyńskie sposoby. Widzieliśmy z naszego ogrodu jak na ulicy Asfaltowej wyprowadzili grupę dzieci i kobiet. Ustawili ich przed samochodem pancernym i zmusili do marszu. W ten sposób, kryjąc się za dziećmi i kobietami atakowali niemożliwe do zdobycia broniące się stanowiska powstańców.

Z fragmentarycznych wiadomości wiedzieliśmy, że powstańcy się bronią na Starym Mieście, w Śródmieściu, ale gdzie, w jakich miejscach, tego nie wiedzieliśmy. Czemu Warszawa nie otrzymuje żadnej pomocy? Przecież czołgi rosyjskie w lipcu były tak blisko Warszawy, to było niezrozumiałe. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Niemieckie watahy pijanych żołdaków szalały. Wywlekali ludzi z domów, znęcali się i torturowali, w każdej chwili mogliśmy wszyscy zginąć. W pewnym momencie byliśmy z ojcem w naszym ogrodzie, przechodziliśmy do domu. Za ogrodem pojawił się oddział niemiecki. Otworzyli do nas ogień. Jednym skokiem wpadliśmy z ojcem do werandy i do domu. Posypał się na nas grad pocisków i odłamków drewna oraz szkła ze ścianek werandy. Poza draśnięciami i drobnymi skaleczeniami nic się nam nie stało. Potem oglądaliśmy jak była strzaskana weranda, przez cienkie ścianki pocisk

przy pocisku przeleciały na wylot powyżej naszych głów. Był to cud, że żaden pocisk nas nie trafił. Dochodziły do nas przerażające wieści, że Niemcy włączyli do likwidacji powstania oddziały ukraińskie SS i rosyjskie oddziały tak zwanych „własowców”, które słynęły ze straszliwych okrucieństw. Dobrze wiedzieliśmy do czego oni są zdolni.

Kończyła się nam żywność i woda, ale nie tylko nam. Żadne zaopatrzenie nie istniało. Głód zaglądał wszystkim w oczy. Na środku ulicy Madalińskiego za Alejami Niepodległości leżał z wozem zabity koń. Ludzie podkradali się, żeby wyciąć z niego kawałek końskiego mięsa. Niestety miejsce to było widoczne z wysokich bloków z Alei Niepodległości, skąd snajperzy niemieccy mieli doskonałą widoczność. Po niedługim czasie kilka trupów ludzkich znalazło się obok konia. W nocy Niemcy stale oświetlali to miejsce. Ale po kilku dniach śladu po koniu nie było. Niemieckie samoloty stale zrzucały ulotki. W ulotkach niemieckie dowództwo wzywało mieszkańców do opuszczania domów i wychodzenia z Warszawy. Przyrzekali, że cywilnej ludności nie spotkają żadne represje. Ostrzegali, że Warszawa zostanie zrównana z ziemią. Wiedzieliśmy, że nie są to żarty. Dowodem było warszawskie getto. Oni byli zdolni do najgorszego barbarzyństwa. Nie było już prądu ani wody. Nie było co jeść.

Docierały do nas fragmentaryczne wiadomości, że Warszawa w większości jest opanowana przez Niemców. Żadnej pomocy znikąd nie ma. Podobno były zrzuty z amerykańskich samolotów, ale większość zrzutów wpadło w ręce Niemców.

Rosjanie wstrzymali ofensywę. Stoją po drugiej stronie Wisły i przyglądają się jak Warszawa płonie. Dla nas nie było to żadne zaskoczenie, znaliśmy ich. Wiedzieliśmy, że od sowietów żadnej pomocy spodziewać się nie można. Od nich spotkać nas może tylko niewola, Sybir, aresztowania, tortury i śmierć. Dla Stalina była to sytuacja komfortowa. Rękami Niemców, ukraińskich i rosyjskich nacjonalistów mógł zlikwidować dwumilionową stolicę Polski. W likwidacji Powstania Warszawskiego, poza oddziałami garnizonu niemieckiego brały udział jednostki rosyjskie i ukraińskie zwane potocznie własowcami. Warto odnotować że, dywizji Własowa w Warszawie nie było. Był w tym czasie wraz ze swoją dywizją w Pradze Czeskiej. Pod koniec wojny dywizja ta poddała się aliancom, aby nie wpaść w ręce Rosjanom. Alianci jednak wraz z Generałem Własowem wydali ich Rosjanom. Rosjanie pozbawili własowców praw obywatelskich, większość rozstrzelali, a pozostałych osadzili dożywotnio w łagrach syberyjskich, samego zaś Własowa powiesili, gdyż

jako zdrajca nie zasłużył na */razstriel/*.

W likwidacji powstania Warszawskiego brały udział między innymi następujące jednostki:

- Pułki z brygady SS RONA /Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia/ pod dowództwem SS – Standartenfurera Bronisława Kamińskiego.

- Jednostki Ukraińskiego Wołyńskiego Legionu. Prawdopodobnie również jednostki 14 Dywizji SS Galizien.

- Bataliony dowodzone przez Standartenfurera Oskara Dirlewangera: Batalion Azerbejdżański „Bergman” oraz pułk Kozaków. Łącznie oddziały te liczyły około 10.000 ludzi.⁴

Z tych oddziałów utworzono szturmowe grupy uderzeniowe do zadań specjalnych. Wsławili się oni niezwykłym okrucieństwem i bestialstwem. Skupili się na masakrowaniu każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka, jacy znaleźli się w polu ich widzenia. Nie oszczędzano nikogo – nawet sióstr zakonnych, pielęgniarek, leżących w szpitalach chorych, lekarzy kalek i dzieci. Szacunkowo liczby ofar rzezi na Woli i Ochocie wahają się od 20 do 50 tysięcy osób.⁵

4. Norman Dawies, „Powstanie 44”.

5. Norman Dawies, „Powstanie 44” str. 343.

LIKWIDACJA SZPITALA DZIECIĄTKA JEZUS

Opowiadanie o likwidacji szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, muszę zacząć od wydarzenia jakie miało miejsce trzynastego lutego 1944 roku na Podolu. Naród polski na Podolu był bogobojny, pokornie i głęboko wierzący. W Hucisku Brodzkim⁶, jak w każdą niedzielę, prawie wszyscy Polacy pojechali na sumę do kościoła parafalnego w Ponikwie. Bojówki ukraińskich bandytów UPA tylko na to czekały. Otoczyły wieś i przystąpiły do ataku. Mieszkańcy byli przygotowani do obrony na tyle, na ile to było możliwe, ale o tej porze większość mężczyzn posiadających broń i umiejących nią władać znajdowała się w kościele, w domu zostało niewielu. Ukraińcy do tej pory z reguły napadali tylko nocą. Tym razem znacznie silniejsi liczebnie i nieporównanie lepiej uzbrojeni niż samoobrona, bandyci wdarli się do wsi w biały niedzielny dzień w czasie nabożeństwa w parafalnym kościele. Nieliczni we wsi mężczyźni zaczęli się bronić. Wywiązała się walka na śmierć i życie. Banderowcy rozpoczęli okrutną rzeź mieszkańców. Nie oszczędzali nikogo. Zabijali wszystkich – kobiety, dzieci,

6. Hucisko Brodzkie powiat Brody woj. Tarnopolskie. Autor był świadkiem tego wydarzenia.

starców. Każdy napotkany człowiek ponosił śmierć. Rzadko kiedy od kuli. Najczęściej śmierć zadawano nożem lub siekierą. W miejscach, gdzie wdarli się bandyci, płonęły domy i zabudowania.

Na nabożeństwie w Ponikwie było w tym czasie kilkaset osób. Byłem tam z moim ojcem i ja, jak co tydzień w niedzielę. W pewnym momencie zaczęły dochodzić odgłosy wystrzałów i wybuchów. Gruchnęła wieść, że banderowcy napadli na Hucisko Brodzkie. Nabożeństwo zostało przerwane. Ludzie w pośpiechu zaczęli wracać do domów.

W Ponikwie, w pałacu hr. Bocheńskiego stacjonowała frontowa jednostka Werhmachtu. Grupa ludzi z kościoła zdecydowała się iść do Niemców i prosić o pomoc. Postanowili nie mówić, że na wieś napadli ukraińscy bandyci z UPA, ale że ataku dokonała sowiecka partyzantka. Gdyby Niemcy dowiedzieli się że to UPA, na żadną pomoc nie byłoby co liczyć. Nikt w tym czasie nie wiedział, że organista Tadeusz Kozaczewski, który doskonale znał język niemiecki, odszukał kapitana na kwaterze i przekonał go do udzielenia pomocy tym samym argumentem, że na wieś napadła partyzantka sowiecka. Kapitan przez radiotelefon wydał rozkaz, aby jeden czołg wraz z załogą zlikwidował bandytów atakujących wieś.

Czołg wręcz oblepili młodzi ludzie z Huciska Brodzkiego. Pojechał z nimi również mój

ojciec. Mnie jednak nakazał surowo, żebym pobiegł jak najszybciej do domu. Po kilku godzinach tata wrócił. Przed wjazdem do wsi czołg oddał z działa kilka strzałów. Zaskoczenie było wielkie. Po stronie banderowców zaległa cisza. Po chwili rozległy się wrzaski w języku ukraińskim. Uciekajmy! Polacy mają armaty. Nastąpił pośpieszny odwrót bandytów. Dzięki wsparciu obrońców przez jednostkę Werhmachtu odparto atak. Wśród dopalających się budynków z rykiem biegały w popłochu zwierzęta gospodarskie. Ludzie przerażeni biegali po wsi, szukali swoich bliskich, ratowali, co mogli. Starali się łapać oszalałe konie i bydło. Nie było szans na ugaszenie pożarów. Nie było komu grzebać pomordowanych ofar. Kto ocalał, ratował się ucieczką. Śwąd spalenizny i gryzący dym gryzł w oczy. Całą noc widzieliśmy łuny nad Huciskiem Brodzkim.

Na drugi dzień, gdy się rozjaśniło, pośpieszyliśmy z ojcem na to pobojuwisko. Zastaliśmy tam już Polaków z pobliskich wsi, z Wołoch i Perelisek. Zbierano i znoszono w jedno miejsce zabitych. Gorzej było z rannymi. Nie było żadnej pomocy medycznej ani środków opatrunkowych. Wkoło jęki i wołania o pomoc. Ludzie męczyli się strasznie. Zabitych było około pięćdziesięciu osób. Kilka furmanek zabierało rannych, aby ich odwieźć w bezpieczne miejsce.

Ocaleli mieszkańcy starali się ratować swój dobytek. Dopalały się podpalone zabudowania, nie było komu gasić ognia. Trzeba się było spieszyć i uciekać w większych grupach bo w pobliskich lasach krążyły bandy rizinów UPA. Bandyci z lasu strzelali do ludzi zabierających rannych i próbujących ujsć ze wsi. Musieliśmy i my z ojcem wycofać się z pobojuwiska.

Terroryści ukraińscy wrócili po kilku dniach. Dokończyli zbrodniczego dzieła. Rozgrabili mienie. Zabrali wszystko, co się dało zabrać. Resztę podpalili. Polacy, którzy uszli z życiem, przenieśli się do większych skupisk polskich. Między innymi do Huty Pieniackiej, gdzie znowu czekał ich okrutny los. Hucisko Brodzkie – szlachecki zaścianek, dostatnia i wzorowo zagospodarowana wieś przestała istnieć.

W tę nieszczęsną niedzielę Tomasz Michalewski został sam w domu z szesnastomiesięcznym synkiem, bo żona poszła do kościoła. Dziecko usnęło w kołysce. W pewnej chwili Tomasz usłyszał grzechot na blaszanym dachu swego nowego domu. Czyżby grad o tej porze – pomyślał? Wyjrzał przez okno. Ulicą biegli przestraszeni ludzie.

- Ukraińcy napadli na naszą wieś! – Uciekaj wołali!

Teraz zrozumiał, że grzechot na dachu to seria wystrzelonych gdzieś pocisków. Sytuacja

była groźna. Wyjął dziecko z kołyski, owinał pledem i wybiegł z domu, bo doszedł do wniosku, że tylko ucieczka ze wsi może dziecku i jemu uratować życie. Strzelanina była coraz bliżej. Zbrojne oddziały banderowców UPA podpalały domy. Biegąc i chowając się, gdzie się dało, Tomasz widział, że Ukraińcy zabijali każdego, kto się znalazł na ich drodze. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że drogi nie przebiegnie, pociski gwizdały gęsto, przytulił dziecko mocno do piersi, i przylgnął do zasypanej śniegiem skarpy. Jeden z przebiegających banderowców rzucił okiem i krzyknął, „*win wże whytyj*” (on już zabity). Przytulone do piersi leżącego ojca dziecko zakwiliło. Następny banderowiec zatrzymał się i strzelił. Trafił wprost w zawiniętą główkę dziecka. Ten sam pocisk przeszył Tomaszowi lewy bark tuż obok serca. Ranny stracił przytomność.

Po wielu latach miałem przyjemność poznać pana Jana Michalewskiego, starszego brata zamordowanego Tadeuszka. Jan Michalewski miał w tym czasie sześć lat; tylko przypadkowo uniknął masakry, gdyż w tym tragicznym dniu był u stryja Michała w przeciwnym krańcu Huciska Brodzkiego. Powyższą relację Pan Jan przekazał mi na podstawie własnej pamięci i wielokrotnego opowiadania swojego ojca, Tomasza, który w następnym dniu po napadzie otrzymał pierwszą pomoc w niemieckim szpitalu

wojskowym w Brodach. W szpitalu ustalono, że został ranny pociskiem dum-dum. Noc po napadzie ciężko ranny przeleżał na zatłoczonej podłodze u gospodarza w sąsiednich Wołochach. Z tamtej nocy, wtedy sześciolatek syn Janek na klęczkach modlący się pamięta, że leżący ojciec co pewien czas jęczał „dobijcie mnie”, a mama stale zwilżała mu rozpalone usta i twarz. *„Tej nocy nikt z nas nie zapomni do śmierci”!*

Po latach żyjąca w Twardogórze Sycowskiej Pani Hanicka, która w tamtym piekielnym czasie była siostrą w szpitalu w Brodach wspominała:

„...Kiedy przywieźli Tomasza Michalewskiego do szpitala, po umyciu zemdlął a kiedy niemieccy lekarze wojskowi zdecydowali aby ręki nie amputować i zaczęli ją nastawiać to chory tak wył z bólu, że obudził cały szpital i zemdlął...”.

Udało się krewnym przewieźć Tomasza Michalewskiego i jego rodzinę do Warszawy. Następnie składano jego zgruchotane kości i leczono rany w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Przebywał tam aż do czasu ewakuacji tego szpitala. Było to już w czasie powstania warszawskiego pod koniec sierpnia 1944 roku. Wieczorem tego sierpniowego dnia do sal i na dziedziniec szpitala wpadło dziwne wojsko w mundurach niemieckich. Na mundurach mieli jednak inne oznaczenia. Chorych popychano,

bito nahaikami i z krzykiem wypędzano na dziedziniec i dalej do bramy. Kilku bardzo chorych po zadanych biciem razach zwijało się z bólu. Upadając na sali i na dziedzińcu nie mogli się podnieść. Oficerami na terenie szpitala podczas tej ewakuacji byli Niemcy. Siostry często szukały oficera, aby uciec od nachalnego żołdaka lub prosić o pomoc. Zachowanie żołdaków wskazywało na stan pod wpływem alkoholu. Najbardziej bito na przejściu przez bramę, gdzie od uderzenia przewrócił się staruszek bez nogi, sąsiad z sali Tomasza. Tomasz Michalewski z łatwością rozpoznał język ukraiński w rozmowach i okrzykach żołdaków i doskonale wiedział, że nie są to Niemcy. Za bramą chorych formowano w kolumny pod nadzorem wojska niemieckiego i sióstr zakonnych /szarytki/ z personelu szpitalnego. Sytuacja już była spokojna cicha bez bicia i krzyków. Tomasz Michalewski wielokrotnie ze zgrozą wspominał wypędzanie chorych w czasie ewakuacji szpitala Dzieciątka Jezus w czasie Powstania Warszawskiego. Ilu uderzonych, pobitych w czasie tej nocy skonało w salach i na dziedzińcu nikt nie policzył.⁷

Wróćmy jednak do wątku zasadniczego opowiadania. Sytuacja stawała się groźna. Palenie

7. Norman Dawies, „Powstanie 44” str. 371, 403, 404.

domów, wysadzanie w powietrze budynków było systematyczne. Niemcy z wrodzoną sobie dokładnością burzyli Warszawę. Równali miasto z ziemią. Stawało się jasne, że dom w którym mieszkamy będzie wkrótce zburzony, a my w najlepszym razie wyrzuceni na bruk. Palili i burzyli ulicę Madalińskiego. Okoliczne domy płonęły.

Znowu stanęliśmy przed decyzją. Zostać? Możemy zginąć. Uciekać? Dokąd? Jak? Ale trzeba ratować życie. Bardzo wielu ludzi wychodziło z Warszawy trzymając białe fagi. Niemcy stale nawoływali do opuszczenia miasta, przyrzekali, że ludności cywilnej nie grożą żadne represje. W ich przyrzeczenia wierzyć nie było można. Ale nie było wyjścia. Zdecydowaliśmy się opuścić nasze mieszkanie i wyjść na piechotę z Warszawy.

Cenniejsze rzeczy z mieszkania złożyliśmy w naszej ziemiance. Zabezpieczyliśmy ją jak się dało od wody, zabiliśmy deskami wejście i grubo przysypaliśmy ziemią tak, aby nie było widoczne, że w tym miejscu jest coś zakopane. Ojciec, mama, siostra i ja, wzięliśmy tylko tyle rzeczy, ile dało się unieść i na piechotę ruszyliśmy na tułaczkę w nieznane.

Już trzeci raz w czasie wojny, straciliśmy cały dorobek, i zostaliśmy tylko z tym, co mieliśmy na sobie i co mogliśmy unieść w rękach.

Najpierw wyposażone mieszkanie w Warszawie przy ulicy Pańskiej, potem cały dorobek: dom i ziemię na Podolu. A teraz mieszkanie, tak trudno zorganizowane i wyposażone w Warszawie, przy ulicy Madalińskiego.

Warszawa w ogniu płonęła. Ziemia drżała od kanonady i wybuchów. Zbrojne oddziały niemieckie burzyły i podpalały dom po domu, ulicę po ulicy. Niszczyli z premedytacją całe miasto. W tym stanie beznadziejności ludzie wychodzili z piwnic i trzymając białe płachty w ręku opuszczali bohaterskie miasto, które stale walczyło, nie poddawało się.

Heroiczna walka jakiej nie zna historia trwała 63 dni. W beznadziejnej sytuacji. Skończyła się amunicja, skoczyła się żywność. Nie mając z nikąd żadnego wsparcia, powstańcy postanowili zaprzestać walki i poddać się.

Układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie był o wiele korzystniejszy dla powstańców, niż mogli się wcześniej spodziewać. Niemcy uznali, że żołnierze Armii Krajowej są pełnoprawnymi kombatanami, oraz że zarówno oni sami, jak i członkowie służb pomocniczych będą odtąd traktowani podobnie jak inni jeńcy z armii zachodnich. Będą chronieni jak jeńcy wojenni na mocy konwencji genewskiej z 1929 roku. Był to krok, którego podjęcia Niemcy konsekwentnie odmawiali w stosunku do jeńców

sowieckich i którego Armia Czerwona nigdy nie uczyniła wobec jeńców wziętych przez siebie do niewoli.

W Warszawie: zamordowanej stolicy Polski powoli zaległa cisza.

Stanisław Ostrowski. Epitafum Warszawskie

Nic nie ma oprócz ciszy, która
grozą krzyczy...
Nic nie ma prócz krwi plamy
i garści popiołów...
Na gruzach mego miasta
Bóg mogiły liczy
I wieczność szumi w skrzydłach
placzących aniołów...
Pozostał punkt na mapie i haust
goryczy.
Pustka w znużonych oczach -
już wiele zegnały -
I strach, co nocą budzić mnie
będzie na pryczy,
Że nic się już nie zmieni -
bo wszystko się stało.
Bo wszystko...Nie. Nieprawda
- dwa słowa: tak trzeba.
I krew, co szumi w żyłach gorąca,
ofarna,
Uparcie będą wiodły poprzez

wszystkie nieba –
Nie mnie, to mego brata –
Jak gwiazda polarna !

Gross Born Ofag II D 1945 r.

Nie pamiętam daty kiedy na piechotę wyszliśmy z Mokotowa, było to na pewno w trzeciej dekadzie sierpnia. Była dalej piękna pogoda. Umówiliśmy się tak, że gdyby nas rozdzielono albo gdybyśmy się pogubili, będziemy się starać dostać do Grodziska Mazowieckiego. Grodzisk Mazowiecki był 30 km od Warszawy. Ojciec tam miał przyjaciela Reinharda, u którego mieliśmy się spotkać. Marsz w upale z bagażami na plecach był morderczy. Szliśmy przez Rakowiec, Raków w kierunku Opaczy i Grodziska.

Szliśmy boczną uliczką w kolumnie uchodźców z tobołkami na plecach. Każdy niósł z sobą tyle ile mógł. W kolumnie ludzie starsi, małe dzieci, wszyscy umęczeni z potem kapiącym po twarzy, aby jak najdalej od wojennej zgrozy. Przy furtce jednego z gospodarstw, nieznana kobieta stanęła z wiadrem wody z sokiem i każdemu z uchodźców dawała kubek chłodnego napoju. Cóż to był za cudowny napój. Jakże byliśmy wdzięczni tej nieznanej kobiecie. Omijaliśmy na ile to tylko było możliwe posterunki niemieckie. Szliśmy polami, ogrodami, przez zagajniki i nieużytki.

Spaliśmy w jakiejś opuszczonej stodole. Wokoło było pełno niemieckiego wojska. Spotkanie z nimi nie należało do przyjemności. Odstawiali do punktu zbornego w Pruszkowie, a stamtąd do obozów w Niemczech. Chcieliśmy za wszelką cenę tego uniknąć. Wiele osób dobrowolnie szło do Pruszkowa. Ojciec jednak stale nam powtarzał **„w czasie wojny nigdy nie idzie się dobrowolnie do niewoli”**. Dotarliśmy któregoś wieczoru do starej cegielni. W nieczynnym wielkim piecu do wypalania cegły, ze względu na grube mury pieca schroniło się wielu ludzi. Znalazło się miejsce i dla nas. Ułożyliśmy się do spania na resztkach snopka słomy. Nie było innego wyjścia, byliśmy umordowani i chciało się nam strasznie spać. Obok koczowała jakaś staruszka. Zaproponowała, że jeśli ja się nie boję, to ona tu bliźniutko mieszka i mógłbym się przespać w jej pokoju. Nie może wziąć kogoś jeszcze, bo ma bardzo mały pokój i tylko jedno łóżko, ona zostanie tutaj bo tu jest bezpieczniej. Zdecydowałem się skorzystać z tej okazji. Domek był drewniany, dach ledwo trzymał się ścian. Na poddaszu długi korytarz i mały pokój, wejście z korytarza. Położyłem się na łóżku i natychmiast usnąłem. Rano obudziłem się w strasznych męczarniach. Wszystko mnie piekło, kłuło i bolało. Podniosłem koldrę i na prześcieradle zobaczyłem grad brązowych

kropek i rozmazane ślady krwi. Roilo się od pluskiew. Pluskwy spadały z sufitu, a z mojego ciała zrobiły sobie ucztę. Widocznie staruszka była na nie odporna. Nie miałem jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać, gdyż Niemcy w tym momencie wjechali z wrzaskiem na podwórko tego domu. Widziałem ich dokładnie z okna. Rozbijali drzwi, wdzierali się do domu. Trzeba było uciekać. Wybiegłem na korytarz, na końcu korytarza okno. Wyskoczyłem z pierwszego piętra, nie było zbyt wysokie. Z tej strony budynku Niemców nie było. Dotarłem do pieca cegielni, gdzie była reszta mojej rodziny, już bez trudu. Dalsza wędrówka w kierunku Grodziska stale napotykała na przeszkody. Wszystkie drogi i przejścia były blokowane przez Niemców. Sprawdzali dokumenty, napotkane osoby podejrzane o to, że wyszły z Warszawy były aresztowane, wywożone do Pruszkowa i dalej na zachód. Omijaliśmy posterunki niemieckie. Szliśmy bezdrożami, polem, zaułkami. Po trzech dniach udało się nam dotrzeć do Opaczy.

Zatrzymaliśmy się u jednego wieśniaka, spaliśmy w stodole. Za spanie pod dachem i strawę /rano kromka chleba z kawą zbożową, w południe postny żur z kartofami, wieczorem tylko kawa/ wymagał od nas ciężkiej pracy w polu od świtu do zachodu. Nie byliśmy jedynymi uciekinierami z Warszawy. Stale płynęły kolumny umęczo-

nych, głodnych, spragnionych a często rannych wychodźców. Niemcy urządzali polowania na tych biedaków. Pruszków nie mieścił spędzanych tłumów. Z Opaczy było widać Warszawę w ogniu. Czerwona luna, a wyżej, ogromna ściana dymu nad umarłą stolicą. Czarny dym sięgał chmur cumulusów. Wieczorem ściana dymu była różowa a blask ognia rozjaśniał chmury. Niemcy stacjonujący na podwórzu śmiali się, że w Warszawie pieką się kartofe. Mama znając niemiecki mówiła jak obelżywymi epitetami traktują Polaków.

W Opaczy była stacja kolejki EKD /elektryczna kolej dojazdowa/. Po jakimś czasie została uruchomiona w kierunku Grodziska. Skorzystaliśmy z pierwszej okazji. Jadąc do Grodziska widzieliśmy jeszcze z odległości ponad dwudziestu kilometrów jak płonie Warszawa. Ogromne języki ognia sięgały wysoko w niebo a czarny dym jak betonowa ściana sięgał wyżej chmur. Cały horyzont od lewa do prawa to jeden ogień. W wielu miejscach na horyzoncie było widać ogniste błyski i ślady świetlnych pocisków zmierzających w kierunku Warszawy. Towarzyszyło temu głuchoe dudnienie ciężkich dział rozstawionych wokół miasta skierowanych ogniem w dzielnice Warszawy, w których bronili się jeszcze powstańcy. Patrzyliśmy z zapiętym tchem jak płonie nasze piękne miasto. Mojej

mamie płynęły łzy z oczu. Wielu pasażerom mających szare twarze i przerażenie w oczach, też spływały łzy po policzkach. W mojej głowie klębiły się straszne myśli. **Warszawa w ogniu. Warszawa w ogniu.** Wielkie miasto płonie, huczało mi w głowie. Przecież w tym mieście teraz mieszkało około dwóch milionów ludzi, co z nimi będzie, gdzie się podzieją. Ilu z nich zginie w walce, a ilu spłonie w ogniu. Jakież straszne nieszczęście. Instynktownie przychodziła mi na myśl tragedia w Hucie Pieniackiej, gdzie w ciągu jednego dnia spalono wieś i wymordowano ponad tysiąc ludzi. Tu jest to samo, ale na ponad dziesięć tysięcy razy większą skalę.

Dojechaliśmy wreszcie do Grodziska. Tu było spokojniej, tylko policja i żandarmeria niemiecka ciągle urządzały łapanek na uchodźców z Warszawy. Ojca, jako inwalidy z widocznym kalectwem nie czepiali się, a nas chronił jeszcze papier wydany przez Gestapo w Brodach zawierający prośbę o pomoc uciekinierom chroniącym się przed frontem wschodnim. Reinhardowie przyjęli nas przyjaźnie, dali nam jeden pokój w swoim mieszkaniu. Było to dla nas bardzo ważne, mieliśmy dach nad głową. W mieszkaniu tym nie było jednak żadnych wygód, nie było skanalizowane, ubikacja na podwórku. Wodę też trzeba było nosić z pobliskiej studni. W pokoiku naszym był piec kafowy. Aby lepiej

go wykorzystać, ojciec zainstalował przy nim tak zwaną „kozę”. Było to sprytne żeliwne niewielkie urządzenie, które postawione przed piecem miało włożoną rurę w drzwiczki pieca tak, że dym przedostawał się swobodnie przez piec do komina. Palony ogień w tej „kozie” więcej ciepła oddawał na przestrzeń pokoju. Można było w nim palić węglem lub drewnem, na fajerkach coś ugotować, a w zimę było cieplej. Niestety byliśmy znowu biedni jak mysz kościelna. Nie mieliśmy za co kupić jedzenia ani węgla na opał. Szybko zaczęły nam zaglądać w oczy nędza i głód.

Razem z kilkoma znajomymi chłopcami wychodziłem za miasto pod szlaban kolejowy. Transporty niemieckie z wojskiem, uzbrojeniem, stale szły w jedną i drugą stronę. Niedaleko była stacja, każdy skład kolejowy musiał zwolnić biegu. Czekaliśmy na transport węgla. Obserwowaliśmy czy są i gdzie na nim posterunki wojskowe. Przeważnie były zaraz po parowozie i na ostatnim wagonie. Takie składy, na których nie było posterunków zdarzały się bardzo rzadko, trzeba było ryzykować. Jeden z nas, na którego wypadła kolej, brał rozbieg i skakał na wagon najbardziej oddalony od posterunku. Zadaniem jego było w czasie biegu pociągu zrzucić jak najwięcej brył węgla z wagonu, a my zbieraliśmy ten węgiel do przygotowanych worków i uciekaliśmy jak najszybciej i jak

najdalej. Zrzucanie nie mogło trwać długo, gdyż w niedalekiej odległości przed stacją był też stały posterunek niemiecki, z którego strażnicy zauważywszy kogoś na wagonach strzelali bez ostrzeżenia. To samo niebezpieczeństwo groziło z posterunków usytuowanych na wagonach, jeśli takie były. Akcje te były wysoce niebezpieczne. Nieraz zdarzało się, że nie mogliśmy zauważyć posterunków na wagonach i kiedy jeden z nas wskoczył na wagon, rozpoczynała się strzelanina. Wtedy natychmiast ten, który był na wagonie musiał skakać na ziemię. Strzelającemu z posterunku na wagonie Niemcowi trudno było trafić, gdyż pociąg był w ruchu a i cel też był ruchomy. Bezpieczne to nie było, ale tylko w ten sposób można było zdobyć trochę opału. Nie zdarzyło się jednak nam nieszczęście, poza zadrapaniami i skaleczeniami w czasie skoków. Zdobyty węgiel dzieliliśmy na dwie połowy. Jedną połowę dzieliliśmy po równo na każdego, drugą sprzedawaliśmy i dzieliliśmy się pieniędzmi. Takich grup zdobywających opał w ten sposób było kilka. Zdarzyło się, że w innej grupie w czasie takiej akcji jeden z chłopców został postrzelony.

Nie mogłem długo brać udziału w tych akcjach, gdyż rodzice postawili stanowcze weto. Musiałem się przyznać, skąd mam pieniądze i węgiel. Można oczywiście było kupić węgiel od

kolejarzy, ale ceny były tak niebotyczne, że dla nas to nie wchodziło w rachubę.

Na początku września, w celu ostrzeliwania powstania warszawskiego, Niemcy sprowadzili do Grodziska kolejowe działo. Była to ogromna armata na platformie kolejowej, większa od dwóch połączonych parowozów. Sama lufa miała długość ponad wagon. Nie mierzyłem, ale średnica otworu lufy wynosiła chyba ponad jedną trzecią metra. Ustawiali ją na bocznicy kolejowej dwa dni. Lufę skierowali oczywiście w stronę Warszawy. Z ciekawością obserwowaliśmy przygotowania do odpalenia. Blisko podejść nie było można, a z daleka niewiele było widać. Pocisk do załadowania podawany był specjalnym dźwigiem, musiał ważyć chyba ponad tonę. Wieczorem huk oddanego strzału wstrząsnął całym Grodziskiem. W pobliskich domach wyleciały szyby. Strzałów oddanych nie było jednak wiele. Niemcy nie mogli się uporać z załadowaniem pocisku i odpaleniem. Po kilku dniach działo zostało odwiezione.

Zaczął nam doskwierać głód. Próbowaliśmy różnych sposobów, aby zdobyć choć trochę pieniędzy na życie. Ojciec pożyczył od znajomych dwa zdezelowane stare rowery. Wyremontowaliśmy je do takiego stopnia, że można było na nich jeździć. Wyruszyliśmy z ojcem o czwartej rano do Mszczonowa, do piekarni. Tam kupowaliśmy kilkadziesiąt bo-

chenków chleba i przywoziliśmy je na rowerach do domu. Chleb sprzedawaliśmy na targu. Można było zarobić około dwóch złotych na bochenku. To łagodziło głodowanie, każdy grosz był cenny. Mama kupowała kaszę gryczaną i jeszcze potrzebne dodatki i robiła kaszanę. Sprzedawaliśmy ją na targu. Robiliśmy wszystko, aby nie głodować i jakoś przetrwać.

Dzięki znajomościom i kontaktom mojego ojca udało się załatwić pracę dla mnie i Marka, syna właściciela mieszkania, w którym mieszkaliśmy. Praca była w sklepie mięsa końskiego. Tylko takie mięso mogło być w wolnej sprzedaży. Właściciel sklepu dzięki znajomościom z Niemcami i dawanym hojnie łapówkom zdobywał koninę, przeważnie z padłych koni wojskowych. Całe połówki były rozbierane, lepsze mięso sprzedawano od razu z lady, gorsze przerabialiśmy na kielbasy. Była to straszliwie ciężka, mordercza praca fizyczna. Pracowaliśmy razem z Markiem we dwóch codziennie od ósmej wieczorem aż do ósmej rano następnego dnia, z małymi przerwami na posiłek. Praca nasza polegała głównie na przynoszeniu z chłodni mrożonych ćwiartek końskich. Rozcinaniu ich toporem i rozbieraniu na poszczególne części do sprzedaży. Sprzedawał, ważył i brał pieniądze tylko właściciel. Dalszym

naszym zadaniem było mielenie ścinków i gorszych gatunków mięsa na kielbasy. Młynek był jeden, wielki z ogromnym kołem i korbą. Napęd oczywiście ręczny. Właścicielowi bardziej opłacało się nas zatrudnić niż kupić silnik do napędu. Po godzinie machania korbą już bolały plecy. Kręciliśmy kołem na zmianę z Markiem do godziny pierwszej lub drugiej w nocy. W wielkiej wannie obaj wyrabialiśmy farsz na kielbasy. Właściciel dodawał przyprawy i stale dolewał wody, aby farszu było więcej. Potem znowu za pomocą morderczego młynka nadziewaliśmy farszem jelita. O godzinie czwartej w nocy gotowe kielbasy wędrowały do wędzarni. Dopiero wtedy mogliśmy trochę odpocząć. Przed siódmą rano gorące kielbasy wnosiliśmy do sklepu przed, którym kłębiła się kolejka klientów. Kielbasy wędzone naturalnym dymem były pachnące i smaczne. Właściciel stale podnosił ceny, bo chętnych było wciąż więcej niż towaru. Tak wyglądał mój roboczy dzień. Dniówkę dostawaliśmy dopiero po sprzedaniu towaru, jak przyszliśmy na następną zmianę. Jeśli był dobry utarg dostawaliśmy jeszcze po kawałku mięsa. Mogliśmy sobie wybrać mięso odpowiedniej jakości. Jak szedłem do domu, nogi wlokłem za sobą. Robota była mordercza, stale nie czułem rąk i nóg, bolały mnie plecy, ale nie głodowaliśmy i codziennie był pewien dopływ gotówki, za

którą można było kupić najpotrzebniejsze rzeczy. Od tego czasu przekonałem się do koniny, jest to naprawdę doskonale, bardzo smaczne mięso, musi być tylko odpowiedniej jakości /jak każde zresztą/ i dobrze przygotowane do podania na stół. Ani ojciec ani mama nie mieli żadnej pracy, żadnych dochodów. Praktycznie rodzina była na moim utrzymaniu.

W tym czasie Grodzisk był bardzo przeludniony. Ilość ludzi przebywająca w tym mieście była kilkakrotnie większa niż normalnie. Ludzi dużo a pracy żadnej. Napływ uciekinierów z Warszawy powodował nieopisany tłok. Targ na rynku był zbiorowiskiem, gdzie jak w tyglu kotłowało się wszystko. Handlowano czym kto mógł. Grasowali szulerzy i oszuści. Grano w trzy karty i w inne gry wyludzając pieniądze od naiwnych. Stale dochodziło do zatargów i bójek. Złodziejaszkanie mieli istny raj, żadna policja nie funkcjonowała. Niemcy nie byli zainteresowani, aby panował ład czy porządek, mieli coraz większe swoje problemy. Niemiecka żandarmeria stale urządzała łapanki i rewizje. Niewinni ludzie ginęli lub ładowali w obozie koncentracyjnym. Wiadomo było, że ofensywa rosyjska ruszy lada dzień, była to tylko kwestia czasu i to nie długiego. Ewakuowały się niemieckie urzędy. Oddziały wojsk, jedne szły na

front, drugie były wycofywane. Wszędzie pełno sprzętu wojskowego i uzbrojenia. Atmosfera była coraz bardziej nerwowa, wyczuwało się stale rosnące napięcie. Niemcy tracili grunt pod nogami. Warunki w jakich żyliśmy były okropne. Była zima, nie mieliśmy ciepłej bielizny ani ciepłych ubrań. O zrobieniu normalnego prania nie było co marzyć. Nie byłoby w czym ani jak go zrobić. Zwykle mydło czy jakikolwiek proszek do prania były nieosiągalne. Nie było szans na dobre umycie się.

Znowu zaczęły nas atakować wrzody i różne wypryski na ciele, pojawił się świerzb. Jest to nie gojące się, bolące i stale swędzące utrapienie. Pojawia się w sytuacji niedożywienia, braku witamin i braku możliwości utrzymania odpowiedniej higieny. O lekarzu lub o jakichkolwiek lekach nie było co marzyć. Apteki były puste. Lekarze i szpital pracowały na najwyższych obrotach, ale wyłącznie dla Niemców. Stale byli zwożeni z frontu ranni żołnierze niemieccy.

W nędzy, biedzie i niepewności przewetowaliśmy Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

Coraz częściej pojawiały się znienacka rosyjskie samoloty. Zrzucały bomby ostrzeliwały z karabinów maszynowych wszystko co się ruszało i błyskawicznie znikwały. Pamiętałem ich mizerne lotnictwo z trzydziestego dziewiątego

roku. Aż nie mogłem uwierzyć w to co teraz widziałem, samoloty szturmowe, szybkie i zwinne jakie nie istniały w 39 roku. Niebo było opanowane przez Rosjan. Samolotu niemieckiego ani na lekarstwo. Niemcy byli przerażeni.

Jednego z nalotów, a zdarzało się ich coraz więcej, nie zapomnę nigdy. Pierwsza połowa stycznia, wczesne popołudnie, słońce nisko nad horyzontem, szedłem po pracy przez rynek do domu. Pogoda przepiękna, mróz duży, ani chmurki ani wiaterek. Targ jak zwykle, na przepelnionym rynku mrowie ludzi, straszny tłok.

Nagle powietrze rozdarł ryk silników lotniczych. Samolotów szturmowych było dwadzieścia, trzydzieści, nikt nie zdążył policzyć. Leciały na niewielkiej wysokości. Zrzuciły serię bomb. Zawróciły co najmniej trzykrotnie. Za każdym razem bombardując sam środek przeludnionego rynku. Bomby były niewielkie przeciwpiechotne, każda rozrywała się przed zetknięciem z ziemią na wysokości około jednego metra, robiąc niewielki dołek, masakrowała wszystko w promieniu kilkudziesięciu metrów. Akurat znajdowałem się przed wejściem do szerokiej sieni jednego z domów stojących przy rynku. Błyskawicznie wbiegłem, a właściwie zostałem wepchnięty, wtłoczony wraz z tłumem ludzi do tej sieni. W tej właśnie chwili powietrze

rozdarł straszliwy trzask i huk. Bomba wybuchła na chodniku przed sienią. W ułamku sekundy stało się piekło na ziemi. Przede mną oraz pomiędzy mną a wybuchem była stłoczona ciżba ludzka. Fala ognia, odłamków bomby, drzazg i gruzu zmasakrowała tych, którzy znajdowali się przy ulicy u wejścia do sieni. Następni zostali przywaleni warstwą ciał zabitych i rannych. Ja znajdowałem się mniej więcej w połowie sieni, odłamki bomby mnie nie dosięgły.

Zostałem przywalony gruzem, rannymi i rozerwanymi kawałkami ciał tych, co zginęli. Nie da się opisać tego co się tam działo. W pierwszej chwili straciłem słuch. Nic nie widziałem.

Byłem przekonany, że już po mnie, że nie żyję. Jednak nie czułem bólu. Po chwili okazało się, że ranny nie jestem. Nie mogłem tylko wydostać się spod skłębionych ciał. Nie było to łatwe. Nade mną byli kontuzjowani, ranni i zabici. Pode mną żywi jak ja, chcący się wydostać z tej masakry. Krew spływała po nas. Dopiero po jakimś czasie przy pomocy innych ocalałych osób, udało mi się wygrzebać z tego ludzkiego kłębowiska. Przez dłuższy czas nie słyszałem. Wyciągaliśmy rannych spod masy ciał ludzkich. Po chwili odzyskałem słuch. Wokoło jęki i krzyki, makabra. Wydostałem się z sieni. Rynek przedstawiał straszliwy widok. Jak łąn skoszonego zboża powiązanego w snopy, łąn

trupów i rannych. Wielu ludzi starało się odnaleźć swoich bliskich i pomagać rannym. Porozbijane i porozwalane stragany i towary. Przerażające jęki krzyki i wołania. W panicznym przerażeniu starałem się przedostać do domu. Musiałem przeskakiwać przez ludzkie ciała.

Nawet nie zwróciłem uwagi na to, że byłem cały zakrwawiony. Krew spływała mi po głowie twarzy i ubraniu. Mama z przerażeniem zaczęła mnie opatrywać, dopiero uspokoiła się jak stwierdziła, że ranny nie jestem. U nas w domu nikomu nic się nie stało. Wszyscy byli przerażeni. Widzieliśmy różne masakry na Ukrainie i w powstaniu w Warszawie ale czegoś takiego nie widziałem i obym nigdy więcej nie widział. Doliczono się ponad czterysta zabitych osób, rannych nikt nie liczył.

Dopiero w roku 1999 przeczytałem w naszej prasie artykuł o tym nalocie na Grodzisk Mazowiecki. Oczywiście był to nalot z punktu widzenia taktyki wojskowej całkowicie bezzasadny i niepotrzebny. W mieście tym, ani w okolicy nie było żadnych wojsk niemieckich, nie było żadnych umocnień, żadnego uzbrojenia. Rosjanie wykonali ten nalot nic nie zyskując. Z wysokości stu-dwustu metrów, a na takiej wysokości lecieli, była dobra pogoda, widać doskonale każdego człowieka. Musieli wiedzieć, że bombardują wyłącznie ludność cywilną. Nie

zabili ani jednego niemieckiego żołnierza, nie zniszczyli żadnego wojskowego uzbrojenia. Ale zlikwidowali ponad czterysta bezbronnych, niewinnych istnień polskich. Wielu ranili, przysporzyli Polakom łez i nieszczęścia, to dla nich też było bohaterstwo. Nasuwa się oczywiste stwierdzenie, że chodziło wyłącznie o likwidację cywilnej ludności pochodzącej z powstania warszawskiego. Stalin na pewno z tego był zadowolony.

Armia niemiecka w popłochu wycofywała się. W Grodzisku nie było już ani jednego niemieckiego żołnierza, ale bombardowania nie ustawały. Zbliżał się dzień 15 stycznia, siedzieliśmy przy stole w naszym pokoiku na piętrze. Stół był przysunięty do ściany, nad stołem okno. Nagle ryk samolotów, świst spadających bomb. Jedna spadła na chodnik pod ścianę, w której było nasze okno. Potężny wybuch targnął powietrzem. Budynek był drewniany, lekki. Nigdy bym nie uwierzył, ale budynek podskoczył do góry jak piłka. Stolek na którym siedziałem i moje stopy oderwały się od podłogi. Budynek jednak zaraz opadł z powrotem na swoje miejsce. W ścianie na parterze wyrwa na ponad dwa metry. W każdej chwili można było stracić życie.

Wyczuwało się, że Rosjanie wejdą lada chwila. Wielu zabitych na rynku w poprzednim

nalocie leżało na mrozie zamarzniętych, nikt ich nie chował. Nie działały żadne służby porządkowe. Mróz był duży, ciała zamarznięte. Tylko rodziny zabitych, starały się usuwać zwłoki swoich bliskich. Ludzie chowali się po piwnicach w murowanych domach. Kanonada zbliżała się coraz bardziej.

Następni Najeźdźcy

Po kilku dniach w nocy usłyszeliśmy huk silników czołgów i samochodów. Wyrzalełem na ulicę, od strony stacji kolejowej na rynek wjeżdżały czołgi i wielkie samochody ciężarowe. Wybiegliśmy z domu. Nie mogłem rozpoznać co to za wojsko? Rosyjskie wynędzniałe, obdarte i głodne pamiętałem z 1939 roku. To było zupełnie coś innego. Ubrani w ciepłe kożuchy. Na głowach ciepłe baranie czapy. W dobrych, nie dziurawych butach, wspaniale uzbrojeni. Zaopatrzeni w żywność „swinnaja tuszonka” w „mieszku” u każdego. Na dodatek wjechali na amerykańskich samochodach. Żaden nie szedł na piechotę. Rozdawali wygłodzonym ludziom amerykańskie konserwy. Czyżby to Amerykanie? Skąd tutaj? Sprawa wydała się szybko.

Giermańcy gdzie?! Wrzeszczał skośnooki,

pucułowaty, umotany w gruby kożuch kierowca wielkiego wojskowego ford. Tu giermanców nigdzie nie ma, uciekli! Nie bardzo wierzyli w naszą odpowiedź...

Zebrany tłum był zaskoczony. Nie wiedzieliśmy czy ich witać, czy się cieszyć, czy obawiać. Ja wiedziałem na pewno, że nic dobrego po nich spodziewać się nie można. Po chwili wywiązała się dyskusja z żołnierzami.

- Skąd macie amerykańskie samochody amerykańskie konserwy? - pytaliśmy. Oczywiście nikt z nas nie miał pojęcia o olbrzymiej pomocy w postaci żywności uzbrojenia i środków transportowych jaką otrzymywał Związek Radziecki od Stanów Zjednoczonych.

- *Eto nie amerykańskie, eto nasze.* - krzyczeli zgodnym chórem.

- Jak wasze? Tu wszędzie jest napisane U.S.A. - *Gawariu szto eto nasze* upierał się „sałdat”. - *U.S.A. znaczit Ubijom Sukinsyna Adolfa. Wot szto!*

Być może była to 'szutka'/żart/ a rosyjski żołnierz zakpił sobie z propagandy swoich władz. Ale nam do żartów nie było. Byliśmy przekonani, że w ten sposób ustami prostego żołnierza, Armia Czerwona na dzień dobry zamanifestowała swoją prawdomówność.

Po kilku dniach pojawił się w Grodzisku

oddział polskiego wojska. Zaskoczenie było wielkie. Na dźwięk polskich piosenek wojskowych, na rynku błyskawicznie zebrał się ogromny tłum ludzi. Polscy żołnierze byli ściskani i całowani. Wiwatom i radości nie było końca. Wszyscy byli strasznie ciekawi jak to wojsko wygląda i skąd się tutaj wzięło. Nie wiedzieliśmy, że w Związku Radzieckim powstało Wojsko Polskie. Mundury i dystynkcje rzeczywiście polskie, ale nie wszyscy mówili czystym polskim językiem. Na czapkach orzełki ale bez korony. Oficerowie zaciągali bardzo wschodnim akcentem albo wręcz mówili po rosyjsku. Nie zrobiło to zbyt dobrego wrażenia. Entuzjazm osłabł. Ta polska armia, była tak, nie bardzo polska.

Od pierwszego dnia zaczęły się inne rządy. Nie wiadomo skąd pojawiło się P.P.R. i Z.W.M. z opaskami biało-czerwonymi na rękawach. Przedtem nigdzie ich nie było i nikt o nich nie wiedział. W ciągu kilku dni objęli władzę w mieście. Porządek zaczęła wprowadzać milicja polska. U właściciela sklepu mięsnego zacząłem zarabiać nowe polskie pieniądze obowiązujące na terenach zajętych przez bolszewików, tak zwane „lubelskie złote” wydane przez Polski Rząd Tymczasowy z siedzibą w Lublinie. Pieniądze te były drukowane oczywiście w Moskwie o czym nikt nie wiedział. Każdy kto posiadał tak zwaną

kenkartę /dokument tożsamości wydany przez władze Generalnej Guberni/ mógł wymienić 500 zł okupacyjnych na lubelskie, było to prawie tyle co nic. Ja zarabiałem u właściciela sklepu dziennie 500 lubelskich złotych. Władza komunistyczna od razu zaczęła likwidować własność prywatną. Zabrali właścicielowi sklep mięsny, który ratował nas od głodu. Ja straciłem pracę, a ludzie nie mieli gdzie kupić nawet tego końskiego mięsa. Żaden inny sklep mięsny w Grodzisku nie funkcjonował. Łatwo było likwidować, ale uruchomić coś w zamian nie było komu. Znowu pojawiła się u nas bieda i głód. Wiadomo było, że tu w Grodzisku czeka nas nędza.

Po naradzie rodzinnej, ojciec korzystając z jakiejś okazji pojechał do Warszawy. Żaden normalny transport nie istniał. Pomimo wszystko, chcieliśmy się wydostać z Grodziska.

Po powrocie tata opowiadał jak strasznie wygląda Warszawa. Aż trudno było uwierzyć w to co mówił. Cała lewostronna Warszawa nie istniała. Praga nie była tak zburzona. Były tylko ślady po bombardowaniach i ostrzale. U znajomego, który mieszkał na Pradze, udało się ojcu wynająć pokój. Po kilku dniach jakimś zdezelowanym starym niemieckim samochodem z naszym majątkiem, który mieścił się w jednej zniszczonej walizce, wyruszyliśmy do Warszawy.

Podróż nie trwała długo. Wjechaliśmy

między gruzy umarłego miasta. Cmentarna cisza, mróz, śnieg i ani żywego ducha. Trudno było rozpoznać gdzie była ulica a gdzie domy. Główne ulice: Marszałkowska, Aleje Jerozolimskie wyglądały jak wąwozy. Środkiem niektórych byłych ulic wojskowe czołgi przetarły wąskie przejazdy, aby można było przejechać samochodem.

Dopiero w centrum zaczęli pojawiać się ludzie. Błąkały się nędzne postacie. Obdarci wystraszeni i wynędzniali biedni. Monumentalny gmach dworca głównego przy Alejach Jerozolimskich nie został zniszczony przez działania wojenne. Wysadzili go w powietrze Niemcy w ramach systematycznego ścierania Warszawy z powierzchni ziemi. Rozszarpana stalowa konstrukcja głównego bloku przechylona około 30 stopni od pionu, jakby kłaniała się umarłemu miastu. Na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej potężna wyrwa w ziemi, krater o średnicy ponad sto metrów, głęboki kilkanaście metrów poniżej rozerwanego tunelu kolejowego. Pozostał tylko nietknięty Hotel „Polonia”, w którym do ostatniego dnia kwaterowali Niemcy.

Przejechaliśmy Alejami Jerozolimskimi aż do wiaduktu mostu Poniatowskiego. Po obu stronach domy zrujnowane wypalone. Poza wspomnianą Polonią nie widzieliśmy ani jednego domu całego nadającego się do

zamieszkania. Żywego ducha nie widać. Wiadukt i most były wysadzone w powietrze. Przęsła mostu leżały w Wiśle. Zjechaliśmy aż do brzegu rzeki. Wisła była tak zamarznięta, że ciężkie samochody przejeżdżały utartym szlakiem po lodzie w obie strony. Wszystkie mosty w Warszawie były wysadzone, ich przęsła leżały w zamarzniętym lodzie. Gdyby nie mróz nie można byłoby przedostać się na drugą stronę Wisły. Przejechaliśmy na Saską Kępę, Zieleniecką i Targową do Żąbkowskiej. Jadąc ulicą Zieleniecką widać było po drugiej stronie Wisły poszarpaną panoramę lewobrzeżnej Warszawy. Horyzont wyglądał jak połamany grzebień. Tu i ówdzie sterczał jakiś gmach podziurawiony i okaleczony. Gmach „Prudentrialu”, drapacz chmur, nie był zburzony, stał jak monument górując nad morzem ruin. Okaleczony i podziurawiony na wylot, trwał bohatersko niewzruszenie jak symbol niepokonanego miasta.

Praga była prawie nie zniszczona. Budynki w większości całe, gdzie niegdzie ślady pocisków. Jednak bomby i ciężka artyleria zrobiły swoje. W wielu miejscach zwaliska gruzów i zbombardowane domy, lecz w porównaniu do lewobrzeżnej Warszawy wydawało się że jest tu luksus.

Znajomi ojca, Państwo Szilerowie, mieszkali przy ulicy Żąbkowskiej 59 na pierwszym

piętrze. Mieli duże ładne mieszkanie, odstąpili nam jeden pokój. Byli to bogaci ludzie, mieli duży sklep na rogu Żąbkowskiej i Targowej. Oczywiście komuniści niebawem im ten sklep zabrali. My nareszcie mieszkaliśmy w normalnym mieszkaniu. Niestety wody i prądu jeszcze nie było, ale był dach nad głową, można było napalić w piecu i na kuchni ugotować coś do zjedzenia. W Warszawie, było to w tym czasie coś niezwykle cennego.

Pojakimś czasie ojciec pojechał na Mokotów, tam gdzie mieszkaliśmy przed pow-staniem. Mieliśmy nadzieję, że coś się uratowało z tych rzeczy, które ukryliśmy w wykopanej ziemiance. Piękna willa pani Hassowej, a w niej nasze mieszkanie zostało zrównane z ziemią. Okazało się, że kryjówka zrobiona przez nas w ogrodzie, była rozkopana i okradziona. Znikły wszystkie cenniejsze rzeczy, a woda z topniejącego śniegu i deszcz dokonały reszty zniszczenia. Najbardziej szkoda nam było zdjęć i dokumentów dotyczących Urszulina na Podolu. Zdjęć było kilkaset sztuk, dwa ogromne pudła, wszystko zalała woda, zgniły co do jednego. Nie zostało nam ani jedno zdjęcie naszego domu, naszych dziadków ani ich domu. Znikła fotograficzna historia naszego majątku i rozległej rodziny mojej mamy. Nie było rady, musieliśmy się pogodzić z tą bolesną stratą. Należało się cieszyć, że uszliśmy cało z tak wielu

niebezpieczeństw i nieszczęść. Przepiękna kraina Podola z którą tak się zżyliśmy, nasz majątek w Urszulinie, dom naszych dziadków, bajecznie położona Huta Pieniacka, pozostały na zawsze już tylko w naszej pamięci i wyobraźni.

Ludzie coraz bardziej masowo wracali do Stolicy. Mieszkali w tragicznie prymitywnych warunkach. W piwnicach, szałasach, w naprędce skleconych budach, koczowali przy ogniskach w zakamarkach ruin. Każdy patrzył gdzie tylko było możliwe jakiegokolwiek schronienie przed deszczem, wiatrem i zimnem. Na Pradze zabudowania ocalały nie licząc wielu, nieraz ogromnych uszkodzeń od ostrzału artylerii i bombardowań. Tutaj życie szybciej wracało do normy. Ruch na ulicach był coraz większy. Pierwszy ośrodek normalizacji oczywiście powstał na bazarze Różyckiego na Pradze. Handel prywatny rozwijał się dynamicznie z dnia na dzień.

Ojciec natychmiast uruchomił energiczną działalność. Przydało się jego doświadczenie w organizowaniu Związku Inwalidów po pierwszej wojnie światowej. Wraz z grupą znajomych organizował Zarząd Główny Związku Inwalidów Wojennych w Warszawie. Inwalidów wojennych wojskowych po wojnie było wielu i to nieraz na bardzo wysokich stanowiskach w wojsku i administracji. Przede wszystkim jednak ojciec

chciał znaleźć dla nas samodzielne mieszkanie. Pozostawanie w czyimś mieszkaniu było bardzo krępujące. Zdobycie samodzielnego mieszkania w doszczętnie zburzonej Warszawie po powstaniu, graniczyło z cudem. Udało się jednak ojcu dostać przydział na mieszkanie przy ulicy Radzymińskiej 126 na pierwszym piętrze. Mieszkanie było opuszczone i przejęte przez władze miasta. Było kompletnie umeblowane, łącznie z wyposażeniem kuchni. Mama po raz pierwszy od dłuższego czasu mogła spokojnie ugotować jakiś lepszy posiłek i mogliśmy go zjeść w ludzkich warunkach.

Pod mieszkaniem na parterze był pusty sklep. Byliśmy świadkami następującego incydentu. Pewnego dnia trzech żołnierzy rosyjskich weszło do sklepu i zażądali pieniędzy. Właścicielka pieniędzy oczywiście nie miała. Bandyci grozili jej śmiercią i zaczęli bagnetami wyłamywać drzwi i szufady z szaf. Sąsiedzi powiadomili znajdujący się niedaleko komisariat naszej milicji. Milicja powiadomiła NKWD. Rosjanie przyjechali natychmiast dwoma wojskowymi samochodami. Dwóch żołnierzy złodziei złapali bezpośrednio na miejscu, trzeciemu udało się zbiec. Myśleliśmy, że ich zabiorą, ale tak się nie stało. Związali im ręce z tyłu, postawili pod ścianę budynku i natychmiast rozstrzelali. Bez żadnego sądu, bez żadnego

śledztwa. Zabrali ich martwe ciała. Byliśmy zaszokowani. Piszę o tym dlatego, aby nie było wątpliwości, że na terenach polskich zdarzające się przypadki rabunku, kradzieży lub gwałtów popełnianych przez żołnierzy radzieckich były surowo karane. Tylko taką metodą można było utrzymać dyscyplinę zdziczałego w okrutnych walkach wojska.

Nie mieszkaliśmy w tym mieszkaniu długo. Po jakimś czasie wrócili jego prawowici właściciele, cała rodzina. Uciekli z Warszawy na czas powstania. Po odejściu Niemców wrócili. I znowu trzeba było szukać jakiegoś lokum.

Ojciec nadal kontynuował pilne działania aby znaleźć jakieś leprze mieszkanie. I znalazło się. Na ulicy Kamionkowskiej. Budynek dwupiętrowy, wybudowany tuż przed wojną, niemalże pachnący farbą. Mieszkanie solidne, na drugim piętrze, dwupokojowe, na podłodze parkiet, kuchnia, łazienka, balkon. Była nawet, ale oczywiście nieczynna instalacja gazowa. Luksus. W tym czasie o czymś lepszym w Warszawie nawet marzyć nie można było.

Skończyła się nasza tułaczka. Nareszcie mogliśmy zacząć normalnie organizować nasze życie. Byliśmy biedni, głodni i obdarci. Ale co najważniejsze mieliśmy solidny dach nad głową. Mieszkanie z normalnymi wygodami. Przydział mieszkania potwierdzony decyzją władz miasta.

Jak na Warszawę w tym czasie było to ogromne szczęście. Można było zażywać rozkoszy kąpieli w wannie. Umyć się codziennie jak należy. Zjeść jak ludzie normalny posiłek. Nikt nie zrozumie co to znaczy, kto nie był w takiej sytuacji, że nie mógł wejść do wanny lub pod prysznic przez kilka miesięcy. Nie mógł zmienić bielizny, nie mógł zrobić normalnego prania, nie mógł normalnie po ludzku zjeść posiłku.

Szybko ustąpiły wszystkie wrzody i dolegliwości skórne. Ojciec był pochłonięty całkowicie organizacją Zarządu Głównego Związku Inwalidów Wojennych. Zarabiał pieniądze, mieliśmy na życie i zaspokojenie podstawowych potrzeb. Biuro Zarządu Głównego mieściło się przy ulicy Targowej 69, na pierwszym piętrze w wielopokojowym mieszkaniu. Mieszkanie było opuszczone przez bogatego Rosjanina, który w czasie rewolucji uciekł przed komunistami na zachód i mieszkał w Polsce. Teraz przed nadejściem bolszewików musiał uciekać dalej z rodziną na zachód. Wiedział co go czeka jak przyjdą czerwoni wyzwoliciele.

Do Warszawy z każdym dniem powracało coraz więcej ludzi. Warszawiaczy wierni swojemu rodzinnemu miastu, za które znieśli tyle cierpień, za które wylali morze krwi, ciągnęli do niego z całej Polski i niemal z całego świata. Obdarci biedni, wynędzniiali w różnych ubra-

ludzie posnęli.
I próżno szukał wzrokiem wśród
ruin dokoła
Weroniki, co chustą pot mu zetrze
z czoła.
Aż spojrzał w czyjeś oczy, w których
zgasło życie
I znalazł w nich Swej Twarzy
Najświętszej odbicie.
I pochylił się jeszcze, bo krzyż
jako ołów
Przygniótł barki ciężarem
zburzonych kościołów.
I zapłakał, i jeszcze do gruzów
się zniżył:
Na Krakowskim, raz czwarty, padł
Chrystus pod krzyżem.

Zamiast ulic wąwozy w gruzach. W wielu miejscach, gdzie były ulice, place, nie było po nich śladu. Nie każdą ulicę można było odnaleźć, pomimo, że w pamięci była doskonale zachowana. Tylko zwaliska gruzów. Jakieś skrawki ziemi, skwery, bądź parki, całe pokryte grobami. Grób przy grobie. Nie było wolnego miejsca na ziemi, wszędzie: groby, groby, groby. Małe naprędce sklecone krzyże z napisami... imię nazwisko, stopień wojskowy. Przecież około trzystu tysięcy ludzi trzeba było gdzieś pochować.

W stolicy jednak budziło się życie. Wracało tętno wielkiej metropolii. Najpierw pojawił się handel, ożyły bazy, a handlowano wszystkim co tylko można sobie wyobrazić. Jak grzyby po deszczu powstawały sklepiki, sklepy, bary, kawiarnie, kafejki. W gruzach, sklecone z byle czego, przykryte prowizorycznym dachem. Niejednokrotnie za takie pomieszczenie posłużył ocalały tramwaj. Otwierano nowe warsztaty rzemieślnicze, małe prymitywne, ale z dnia na dzień było ich więcej.

Nie funkcjonował żaden transport miejski. Posiadacze platform konnych transportowych, natychmiast ustawili na nich ławki i w ten sposób prowizoryczne tramwaje konne za niewielką opłatą przewoziły chętnych na głównych trasach Warszawy. Powracającym warszawiakom tułaczom z całego świata Bogdan Ostromecki napisał wzruszający wiersz.

Tej wiosny

Gdy przyjdą na podwórko
współspalonego domu,
to tylko ich ręka sąsiada, z ziemi
stercząca, przywita-
na gruzach - łez, na gruzach
- snów, na gruzach - skończonego
świata staną - nieznani tu nikomu

Zrobiło się ciepło, stopił się lód i lewobrzeżna Warszawa została odcięta od Pragi. Już nie można było przejść po lodzie. Przesła i wiadukty wysadzonych mostów leżały w wodzie. Ale przedsiębiorczy lud Warszawy natychmiast sobie z tym poradził. Tam, gdzie były zburzone mosty po obu stronach rzeki, czekały łodzie piaskarzy wyposażone w ławki do przewozów pasażerskich. Łodzie kursowały w obie strony a częstotliwość ruchu zwiększała się w miarę napływu pasażerów. Codziennie pojawiały się nowe oznaki życia miejskiego. Pojawiła się pierwsza gazeta powojenna. Dziennik „Życie Warszawy”. Zaraz potem tygodnik „Przekrój”. Szczekaczki okupacyjne funkcjonowały nadal. Ale przekazywane wiadomości, już tylko w polskim języku, były zupełnie inne. Ludzie bardzo łaknęli informacji, każdy chciał wiedzieć co dzieje się na frontach, jak długo potrwa jeszcze wojna, Kiedy zostanie zdławiona potęga Trzeciej Rzeszy. Żaźarte walki stale trwały. Niemcy bronili się zaciekle. Ale wojska sprzymierzone coraz bardziej zbliżały się do Berlina. Jasne było, że koniec wojny jest bliski. W Warszawie rozklejono na murach w formie plakatów manifest lipcowy. Ludzie zbierali się tłumnie. Każdy był ciekaw co przyniesie nam nowa komunistyczna władza. Komentarze w większości były dla władzy nieprzychylnie. Ludzie nie ufali

komunistom. Pojawiały się informacje, że Warszawy nie da się odbudować na jej dawnym miejscu, że ze względu na zniszczenia nie jest to możliwe. Dla warszawiaków była to wiadomość straszna. Ale jedną z pierwszych decyzji, jaką podjął rząd tymczasowy, była taka, że Warszawa będzie odbudowana na swoim miejscu.

Dalo to warszawiakom jeszcze większy zapal do pracy i odbudowy. Uruchomiono pierwsze kino „Syrena” na Pradze przy ulicy Inżynierskiej. Na każdy seans przychodziły tłumy ludzi. Zdobycie biletu graniczyło z cudem. Kasa, to było małe okienko w murze, a ceną dotarcia do niego przez skłębiony tłum było podarte ubranie, siniaki i zadrapania. Często stosowano dość skuteczny sposób dotarcia do kasy. Czterech osiłków brało piątego za ręce i nogi, a po silnym rozkołysaniu rzucało w pobliże kasy na głowy tych co już się tam dopchali. Zdarzało się, że po jakimś czasie wydostawał się on z tej ciżby, umęczony obdarty z biletami w rękę przed rozpoczęciem seansu, ale często to było już za późno na bieżący seans.

Sytuacja polityczna po wejściu wojsk rosyjskich nie była ani jasna ani spokojna. Wiadomo było, że naród polski od czasów trzech zaborów, zsylek na Sybir najlepszych synów polskiego narodu i wojny polsko-bolszewickiej nie miał za co darzyć sympatią władzy ra-

dzieckiej. Negatywne nastroje pogłębiły się znacznie po zdradzieckim „wbiciu noża w plecy” 17 września 1939 roku i dokonaniu czwartego rozbioru Polski. Do tego doszło jeszcze wywiezienie w latach 1939-1945 z wydartych terenów drugiej Rzeczypospolitej około dwóch milionów bezbronnych i niewinnych nieczemu osób, głównie inteligencji polskiej na daleki wschód. Zgotowanie im męczeńskiej śmierci w łagrach na nieludzkiej ziemi. Zamordowanie w bestialski sposób wziętych do niewoli ponad dwadzieścia tysięcy polskich oficerów /w tym kilkunastu generałów/ w Katyniu, Miednoje i innych męczeńskich obozach zagłady. To wszystko zrobiło swoje. Polacy nie mieli za co kochać czerwonych wyzwolicieli.

Szczególnie Warszawiacy nie wybaczą nigdy Stalinowi tragedii Powstania Warszawskiego. Wystarczyło przez dwa, trzy dni nie wstrzymywać ofensywy a Warszawa byłaby całkowicie uchroniona przed hitlerowskim barbarzyństwem. Jednak Stalin zatrzymał swoją armię pod Warszawą i przez 168 dni beczynnie czekał. Można domniemywać, że sprawiało mu radość, jak Niemcy bezkarnie mordują kilkaset tysięcy Polaków, rujnują i równają z ziemią dwumilionową metropolię. Ukarał gen. Berlinga za samowolne udzielenie pomocy powstańcom. Zdarzały się przypadki ogólnie znane w War-

szawie, przedostawania się powstańców lub cywilnych osób cudem w nocy przez Wisłę na stronę Pragi zajętej przez Rosjan. Każdy z takich śmiałków był natychmiast aresztowany, poddany okrutnemu śledztwu i w najlepszym razie zesłany do łagru na Syberię.

Ktoś mógłby pomyśleć, że zapominam o tym, że Armia Czerwona wyzwoliła polski naród od niewoli faszystowskiej. Otóż nie zapominam. Nie wyzwoliła, lecz przeszła przez ziemie polskie jak nawała. To prawda, że na ziemi polskiej w walce z Niemcami zginęło kilkaset tysięcy radzieckich żołnierzy, należy im się za to chwała i cześć. Nie mogli oni wyzwolić Polaków, gdyż sami nie byli wolni. Polscy żołnierze ginęli też, na wszystkich frontach świata, walcząc nie tylko o wolność swojej ojczyzny. Łączne polskie siły zbrojne jak już o tym pisałem, w owym czasie były czwartą armią świata walczącą z Niemcami. Nie zapominam o tym również, że parcie Czerwonej Armii na zachód wcale nie było spowodowane chęcią wyzwolenia narodu polskiego spod okupacji niemieckiej, lecz przede wszystkim imperialistyczną żądzą powiększenia stalinowskiego imperium i zniewolenia podbitych narodów wschodniej i środkowej europy.

Te bezsporne historyczne fakty zapadły głęboko w świadomość Polaków, wzbudziły

nieufność, stworzyły głęboką przepaść nie do zatarcia przez kilka pokoleń między Polakami a Rosjanami. Dlatego też nie ma się czemu dziwić, że po wejściu armii rosyjskiej nastroje w społeczeństwie polskim były nieprzychylnie, wręcz wrogie.

Polska Armia Podziemna licząc wszystkie zgrupowania zbrojne działające na terenach drugiej Rzeczypospolitej liczyła około 350 tysięcy partyzantów, była to duża siła. Rosjanie te ugrupowania traktowali wrogo. Zdarzało się, że polskie zbrojne oddziały zajmowały miasta lub określone tereny przed wejściem wojsk rosyjskich i obejmowały na danym terenie władzę. Tak było na przykład w Lublinie. Rosjanie weszli do Lublina wyzwolonego przez jednostki Armii Krajowej. Wszyscy polscy oficerowie i żołnierze zostali natychmiast aresztowani. Wdrożono okrutne śledztwa. Aresztowani zostali wywiezieni w głąb Rosji. Zorganizowany i działający na terenie Rzeczypospolitej polski ruch oporu został uznany przez sowietów za politycznie wrogi. W tej sytuacji polskie jednostki zbrojnego podziemia przestały się poddawać władzom rosyjskim. Zaczęło dochodzić do starć zbrojnych. Partyzanci pozostali w lasach. Organizacje konspiracyjne pomimo rozkazu dowództwa nie rozwiązały się całkowicie. Trwały ciągłe aresztowania działaczy podziemia, oficerów i dowódców Armii

Krajowej. Oficjalnie ogłoszono amnestię dla żołnierzy i oficerów działających w podziemnych siłach zbrojnych za okupacji niemieckiej. Było to oczywiste kłamstwo, jak wiele innych potem. Kto się zgłosił sam, złożył zeznanie i oddał broń, po niedługim czasie był aresztowany. W najlepszym wypadku więzienie i zsyłka do łagru na daleki wschód. Nastąpiły okrutne prześladowania. Kto był bardziej zaangażowany w walkę o niepodległość za okupacji temu groziło większe niebezpieczeństwo. Dla lepszego poznania sytuacji w kraju w ówczesnym czasie, przytoczę tu tekst informacji o porwaniu przywódców Polski podziemnej i wytoczonym im procesie tak zwanym „szesnastu” w Moskwie.

ULOTKA DELEGATURY SIŁ ZBROJNYCH NA KRAJ W SPRAWIE PORWANYCH PRZYWÓDCÓW POLSKI PODZIEMNEJ Maj 1945

Uwaga. Tekst niniejszy w języku polskim został opublikowany w roku 1945. Stosowane słownictwo pochodzi z tej epoki!

Moskwa - pod rosnącym naciskiem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych AP — wykrztusiła w 6 maja br. po sześciotygodniowym milczeniu, że przywódcy Polski Podziemnej uprowadzeni z Pruszkowa w Wielką Środę - 28 marca 1945 w czasie oficjalnych pertraktacyj z dygnitarzem rosyjskim, są „zaaresztowani przez sowieckie władze wojskowe i znajdują się w Moskwie pod śledztwem”. Komunikat Tassa, mówi cynicznie i bezsensownie, że grupa ta, „posądzona jest o przygotowanie i dokonywanie na tyłach Armii Czerwonej aktów dywersyjnych”. „Oskarżona jest ona również o posiadanie radiostacji nadawczych”. „Wszystkie te osoby, lub niektóre z nich — zależnie od wyników śledztwa - zostaną postawione przed sąd” - stwierdza Tass. Perfidia tego komunikatu i jego twórców jest jasna i niezbita. Na skutek bowiem zaproszeń generała-pułkownika Iwanowa, przedstawiciela dowódcy I. Białoruskiego Frontu Marszałka G. Żukowa, zgodzono się na podjęcie rozmów z owym upelnomocnionym reprezentantem Rosji w celu ułożenia stosunków polsko-sowieckich, zgodnie z zaleceniami naszych sojuszników - Anglii i Stanów Zjednoczonych. Zadokumentowaliśmy raz jeszcze naszą szczerą wolę zgody sąsiedzkiej, okazywaną całkowicie tak podczas okupacji niemieckiej, jak i przede wszystkim w bojowym współdziałaniu z Armią Czerwoną. W rozmowach w Pruszkowie Polskę Podziemną reprezentowali: wicepremier i Delegat Rządu na Kraj inż. J. Jankowski, ostatni dowódca

b. AK gen. bryg. Niedźwiadek - Okulicki, przewodniczący RJN - Pużak, trzej ministrowie krajowi oraz przedstawiciele: Polskiej Partii Socjalistycznej, Zjednoczenia Demokratycznego, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy oraz Stronnictwa Narodowego. Razem - 15 osób. W czasie pertraktacyj Rosjanie zgodzili się na zasadniczy warunek przedstawicieli Polski Podziemnej - na bezpośrednie porozumienie się Kraju z Rządem RP. Rosjanie ofarowali nawet specjalny samolot do Londynu. Nagle, najzupełniej niespodziewanie, nasi przywódcy zaginęli bez śladu. Znając swoiste zwyczaje rosyjskie nie przypuszczano początkowo nic szczególnie złego. Tak wierzono bowiem w moc uroczystych gwarancji i zobowiązań rosyjskich. Potem zaniepokojenie wzrosło. Anglia i USA nalegały na wyjaśnienie, które nadeszło w cynicznych wypowiedziach Mołotowa i komunikatu Tassa. O gwarancjach rosyjskich świadczy m.in. list pułkownika gwardii Pimienowa, organizującego pertraktacje. List ten skierowany do ostatniego dowódcy byłej AK brzmi:

Do Generała Brygady Niedźwiadka.

Moje szczere chęci, które jak sądzę, bez wątpienia znajdują u Pana najwyższy oddźwięk i uznanie zmierzają do tego, żeby dopomóc Panu do spotkania się w najbliższym czasie z przedstawicielem Dowództwa I. Białoruskiego Frontu, generałem-pułkownikiem Iwanowem. Jasno widzę całą trudność tego poczynania, ale biorąc pod uwagę bezwarunkową konieczność i wielką jego wagę, czego w tym krótkim liście nie sposób wyjaśnić, sądzę, że wyżej wspomniane spotkanie winno nastąpić i to jak najprędzej. Jedno tylko można powiedzieć, że proponowane spotkanie Pana z gen.-pułkownikiem Iwanowem może i bez wątpienia zdecyduje to, co wątpliwe czy dałoby się rozstrzygnąć szybko na innych drogach. Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwala na rozstrzygnięcie b. ważnych zagadnień i niedopuszczenie do ich zaostżenia. Proszę Pana Generała ocenić i moje trudności w zorganizowaniu tego spotkania wówczas, kiedy poprzednie ustalone przez Gen.-Pułk. Iwanowa terminy przeszły. Lecz mam nadzieję że Gen.-Pułk. Iwanow będzie się liczył z moimi wywodami i spotkanie Panów będzie

mogło się odbyć w najbliższym czasie. Ja też, jako oficer Czerwonej Armii, któremu przypada w udziale tak ważna misja, daję Panu pełną gwarancję, że od chwili, kiedy Pana los będzie zależny ode mnie (od przyjazdu do nas) będzie Pan całkowicie bezpieczny. W nadziei na nasze szybkie spotkanie przesyłam Panu wyrazy szacunku. Zechce mnie Pan zawiadomić o swoim postanowieniu.

6 marca 1945

Pimienow Pułkownik Gwardii"

W świetle powyższych faktów zapytujemy: Cóż jest warta „pełna gwarancja” bezpieczeństwa ze strony władz rosyjskich? Cóż jest warte słowo honoru oficera Armii Czerwonej, pułkownika Gwardii? Cóż więc jest warte w tych warunkach jakiegokolwiek bądź przyrzeczenie rosyjskie? Rosja przecież nie respektuje przyjętych w cywilizowanym świecie odwiecznych zwyczajów i norm prawa międzynarodowego. Rosja nie przejawiała dotychczas nawet minimum dobrej woli wobec narodu i państwa polskiego. Rosja terroryzuje Polskę, niszczy jej potencjał, działa podstępem, gwałtem, wymuszeniem i szantażem. Rosja walczy fałszem i kłamstwem. Bo kłamstwem przecież i fałszem jest treść oświadczenia Mołotowa i komunikatu Tassa - z wyjątkiem jednej tragicznej prawdy, prawdy o skandalicznym aresztowaniu przedstawicieli Polski w czasie oficjalnych pertraktacyj polsko-rosyjskich i o ich postawieniu przed sąd radziecki.

* * * *

Rozpoczęła się krwawa wojna domowa. Polski Rząd z Bierutem na czele, powołany przez Rosjan, przy pomocy polskich komunistów obejmował władzę. Powstawał państwowy aparat przemocy. Milicja i Urząd Bezpieczeństwa rozpoczęły drapieżne, gwałtowne działania.

Na terenie Polski stała wielosettysięczna armia rosyjska gotowa w każdej chwili wspierać zbrojnie działania komunistycznego rządu i aparatu bezpieczeństwa. W samej Warszawie stały liczne uzbrojone w broń lekką i ciężką jednostki wojskowe przypominające wszystkim kto tutaj dysponuje siłą. Większą część parku skaryszewskiego na Pradze zajmował obóz wojskowy, w którym stacjonowali żołnierze rosyjscy z potężnym uzbrojeniem. Atmosferę zniewolenia wyczuwało się na każdym kroku od pierwszych dni wkroczenia sowietów.

Obozy koncentracyjne na terenie Polski zorganizowane przez okupantów niemieckich i więzienia niemieckie na terenach odzyskanych w większości zostały uruchomione i działały nadal. Przecież tysiące aresztowanych działaczy podziemia okupacyjnego trzeba było gdzieś osadzić. Powszechnie się wtedy mówiło, że w Polsce w więzieniach i obozach koncentracyjnych jest osadzonych ponad milion Polaków. Do dnia dzisiejszego tej informacji nikt nie zweryfikował ani nie potwierdził. W samej Warszawie po wojnie istniały dwa obozy koncentracyjne. Jeden przy ulicy Podchorążych. Drugi pomiędzy obecnymi ulicami Jana Pawła II, za tak zwaną gęsiówką, zorganizowany przez Niemców, przylegał on do getta z jednej strony, a z drugiej do cmentarza żydowskiego. Do tego

obozu był doprowadzony tor kolejowy, który biegł przez umschlagplatz i dworzec Gdański. Tor ten specjalnie zbudowano dla wywozu Żydów z getta do obozów zagłady. Nawet po zlikwidowaniu powstania w getcie ten obóz funkcjonował nadal. Niemcy więzili tam Żydów potrzebnych do wykonywania prac porządkowych po morderstwach jakich dokonywali na więzionych Polakach. Znany jest epizod z powstania warszawskiego, kiedy powstańcy zdobyli i uruchomili czołgi niemieckie i przy pomocy tych czołgów wyzwolili ten obóz. Uwięzieni w nim Żydzi stanęli w dwuszeregu na baczność przed powstańcami i z entuzjazmem przyłączyli się do powstańców. Jeszcze w roku 1952 ten obóz uruchomiony przez ówczesne polskie władze po wojnie nadal działał, widziałem go prawie codziennie, gdyż mieszkalem na Powązkach i jeździłem tamtędy do pracy. W tych obozach w Warszawie po wojnie było osadzonych kilkanaście tysięcy ludzi.

Naród polski, a szczególnie warszawiacy wracający do miejsc gdzie były ich domy przed powstaniem, nie czekali z założonymi rękami. Na każde wezwanie, że w takim a takim miejscu o określonej godzinie zbierają się wszyscy obywatele w celu odgruzowania ruin i porządkowania ulic, stawiały się tłumy ludzi niejednokrotnie z własnymi łopatami, kilofami

i innymi narzędziami. Nikt nie pytał o zapłatę, nikt nie pytał jak długo i do której godziny trzeba będzie pracować. Było powszechnie zrozumiałe i naturalne, że tak trzeba. Nikt nie miał wątpliwości. Wielokrotnie brałem udział w takich bezpłatnych, społecznych odgruzowaniach w różnych miejscach Warszawy. Między innymi kościół Św. Floriana na Pradze, usuwanie gruzu z ulic Świętokrzyskiej, Brackiej, Alej Jerozolimskich, i wiele innych. Oczywiście nikomu się nie marzyło, aby dowieść takich ochotników na miejsce pracy, nie było czym, nawet gdyby ktoś chciał. Maszerowało się na piechotę w kolumnie, często jeszcze ze śpiewem. Każdy był szczęśliwy, że uszedł cało z wojennej pożogi, że może coś zrobić dla ukochanego miasta, za które tylu młodych ludzi bohaterów oddało życie.

Chodziłem po Warszawie i patrzyłem jak wygląda uśmiercone dwumilionowe miasto, jeszcze kilka miesięcy temu tętniące życiem. Znajomych miejsc, ulic i domów nie mogłem odnaleźć, a jak odnalazłem, nie mogłem poznać. Poszedłem z dwoma kolegami, w kilku było bezpieczniej, na Stare Miasto, aby odnaleźć ulicę Kościelną, tam gdzie pracował mój ojciec. Wiedziałem, że na Starym mieście trwały straszne walki. Oczywiście nie znaleźliśmy ani tego domu, w którym była fabryka, w której mój

ojciec pracował, ani ulicy Kościelnej. Morze gruzów i rumowisk. Gdzieś tam sterczały resztki ścian wypalonych domów, zawalone stropy. Ogólny chaos. Odnaleźliśmy jednak podziemne przejścia. Pod całym Starym Miastem była sieć przekopanych i połączonych przejść. Po prostu z piwnicy jednego domu przebijano przejście do piwnicy drugiego, i tak wzdłuż całej ulicy, potem na drugą stronę, na następną ulicę. I tak nie wychodząc na światło dzienne można było przedostać się niemalże z jednego krańca na drugi całej dzielnicy. Oczywiście w przejściach podziemnych było ciemno. Jeden z nas miał w kieszeni kawałek świeczki. Po jakimś czasie skończyła się świeczka i zapalki. W tych czasach latarka była nieosiągalnym luksusem. I tu zaczęła się tragedia, zabłądziliśmy. Po omacku próbowaliśmy się wydostać. Labirynt był mocno skomplikowany. Zawiliśmy nie tylko w poziomie, ale i w pionie. Przejścia pięły się ostro w górę, a za chwilę spadaliśmy w dół. Stale wpadaliśmy w kałuże i doły wypełnione wodą. Błądziliśmy w ciemnościach. Kilka razy zorientowaliśmy się, że już w tym miejscu byliśmy. Sytuacja zaczynała być niebezpieczna. Wydawało się, że nie wydostaniemy się stąd nigdy. Kilkakrotnie w górze w jakiejś szczelinie pojawiało się światło ale jak się tam dostać, było to pytanie bez odpowiedzi. Nie mieliśmy orientacji jak długo

blądzimy, nikt z nas przecież zegarka nie miał. Godzinę, dwie, a może więcej? Już byliśmy głodni i okrutnie zmęczeni. Prowadzeni światłem dochodziliśmy do szczelin, przez które można było strzelać ale o przeciśnięciu się przez nie, nie było mowy. O odpoczynku w takich warunkach trudno było myśleć. Baliśmy się bardzo aby się nie zgubić, staraliśmy się cały czas z sobą rozmawiać.

Wreszcie krańcowo wyczerpani, ubrudzeni i przemoczeni ujrzeliliśmy z daleka załamującą się smugę światła. Szansa na wydostanie się z tego labiryntu dodała nam sił. Dotarliśmy nie bez trudu do miejsca skąd było widać światło. Okazało się, że chyba jest wyjście, ale trzeba pokonać strome, zasypane gruzem podejście. Po mozolnym wspinaniu się w górę dotarliśmy wreszcie do otworu, z którego roztoczyła się wspaniała panorama na Wisłę i jej drugi brzeg. Było to niemieckie stanowisko działa wycelowanego na Wisłę i praski brzeg rzeki. Obok w pomieszczeniu cały magazyn pocisków przygotowanych do załadowania. Brała nas chętka, aby jeden załadować i odpalić. Po krótkiej naradzie odstąpiliśmy od tego zamiaru. Po pierwsze, żaden z nas nie miał pojęcia jak się takie działo obsługuje a po drugie mogło dojść do nieszczęśliwego wypadku. Byliśmy tak umordowani i głodni, że największym

pragnieniem było jak najszybciej dostać się do domu. Jak daleką drogę pokonaliśmy w tym labiryncie trudno byłoby określić. W każdym bądź razie, weszliśmy przed południem do podziemia przy ulicy Freta w okolicy Placu Zamkowego a wyszliśmy przed wieczorem na skarpę wiślaną na wysokości Nowego Miasta.

Dopiero po wyjściu zdaliśmy sobie sprawę, jak mogła się skończyć taka wycieczka. Wszędzie przecież było pełno porzuconej amunicji, granatników, bomb, pocisków różnorodnych i wszelkiego rodzaju innych niewybuchów. Zdarzały się jeszcze tereny zaminowane. Wprawdzie saperzy rozminowywali całe miasto i sprawdzali niemal każdy budynek pisząc na murach „*MIN NIE MA*” albo po rosyjsku „*MIN NIET*”. Jednak wybuchy zdarzały się często. Było wielu domorośłych amatorów, którzy zbierali w tylko sobie znanym celu trotyl, pociski, granaty i wszelkiego rodzaju materiały wybuchowe pozostawione przez wojsko. Warszawa była rozległym prawie bezludnym pobojowiskiem. Zdarzali się złodzieje „hieny”, którzy plądrowali pozostałości siedzib ludzkich i ograbiali je z tego co nie spłonęło i nie było zawałone gruzem.

Na placu teatralnym, z którego wojskowe spychacze usunęły gruz, stacjonowało wojsko rosyjskie. Gmach teatru wielkiego wysadzony w powietrze w ruinie. Pamiętam ten piękny teatr

z przed wojny, chodziłem tam z moim ojcem na przedstawienia dla dzieci. Teraz tylko zgłiszcza. Wszystkie stropy złamane. Przechodziliśmy tamtędy we trzech. Zatrzymaliśmy się chwilę. Zaciekawilo nas czym zajmowali się żołnierze zwycięskiej armii? Na podwyższeniach z gruzu ustawione były zebrane gdzieś w okolicy, żelazne pojemniki, tak zwane „japonki”, na śmieci i odpadki, w jakie była wyposażona każda ulica przedwojennej Warszawy. Pod każdym pojemnikiem przykrytym pałatką płonęło ognisko, z pałatki buchały kłęby pary. Chociaż było dość chłodno żołnierze byli porozbierani, ogrzewali się przy ogniu.

- Co oni u licha robią? Czyżby w pojemnikach na śmieci gotowali coś do jedzenia? Podeszliśmy bliżej. Żołnierze niewiele starsi od nas. Byli rozmowni, weseli, śpiewali, cieszyli się że front jest daleko.

- Co tam gotujecie? Spytaliśmy.

- *Wot panimajesz, Ruskij narod kulturnyj. Higienu znajet.*- padła odpowiedź. Nasza ciekawość wzrosła. Higiena i kultura: jaki tu jest związek?

- *Weszobojku dielajem.* Wyjaśnił sympatyczny blondynek, ...? Dalej nie mieliśmy pojęcia o co chodzi?

Widząc nasze zdziwione i zaciekawione miny, zaczęli tłumaczyć. Z całej trójki ja jeden

znałem rosyjski, więc przekładałem na nasze. Otóż w pojemnikach była gotująca się woda, nad wodą powieszone na drutach ubrania i resztki bielizny /resztki, bo żołnierzowi rosyjskiemu na froncie bielizna nie była potrzebna/. Całość przykryta plandeką. W ten sposób robactwo zagnieżdżone w ubraniu i resztkach bielizny ginęło w gorącej parze. Tak „*Ruskij muzyk*” potrafił sobie radzić w trudnych warunkach sanitarnych.

Wywiązała się beztroska rozmowa z żołnierzami rosyjskimi i nami. Cieszyli się, że wojna się już kończy i wrócą niedługo do domu, do swojego kołchozu. W pewnym momencie jeden z nich zaciskając zęby szeptem ale głośno powiedział

- *Politruk* ! Było to ostrzeżenie skierowane nie do nas lecz do jego kolegów. Najbliżej mnie stojący żołnierz szepnął do mnie:

- *Uchaditie bystro!* Było to jak groźba i ostrzeżenie.

Wszyscy natychmiast zamilkli i odwrócili się do nas tyłem. Powstała sytuacja groźna i dla nas niezrozumiała. Na wszelki wypadek wolno zaczęliśmy się oddalać. Do grupki żołnierzy z którymi rozmawialiśmy podszedł powoli oficer. Zrozumieliśmy, że to on jest ten politruk. Tylko ja wiedziałem co znaczy to słowo /*Politiczeskij rukowoditel* w skrócie politruk - polityczny kierownik/. Żołnierze zamarli, wyprężyli się jak

struny, zeszytnieli w bezruchu. Widać było, że są przerażeni. Nie rozumieliśmy tej sytuacji. Byliśmy oddaleni i nie mogłem zrozumieć wszystkich słów, ale wrzeszczał na nich strasznie. Tego, który powiedział politruk uderzył w twarz. Żołnierzowi spadła czapka z głowy ale ani drgnął. Incydent zrobił na nas przykre wrażenie. Czuliśmy, że my jesteśmy przyczyną kłopotów tych żołnierzy. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego? Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że żołnierze Armii Czerwonej mieli ostry zakaz jakiegokolwiek kontaktowania się z ludnością cywilną. Zabronione pod karą były jakiegokolwiek rozmowy z cywilami, czyli z Polakami. A było to przecież złamanie tego rozkazu. Czego się bali?...

Warto tu wspomnieć fragment opowiadania mojego ojca jak wyglądała Warszawa przed pierwszą wojną światową w czasie zaboru rosyjskiego. „...Na środku Placu Piłsudskiego stała ogromna cerkiew, wybudowana nakazem władz rosyjskich. /Rozebrano ją natychmiast po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie światowej/. Park saski był ogrodzony wysokim żelaznym ozdobnym ogrodzeniem a na głównej bramie, widniała duża tablica z napisem w języku rosyjskim: „**WCHOD JEWREJOM, SOŁDATAM I SOBAKAM SROGO WOSPRESZCZON**” /wejście Żydom, żołnierzom i psom bezwzględnie zabronione/.

Widać jak w narodzie rosyjskim, władza ma wielowiekowe tradycje w traktowaniu podwładnych.

Przypomniało mi się zdarzenie, które miało miejsce po latach w Czechosłowacji. Pracowałem wtedy w Budimeksie i budowaliśmy wielką cukrownię w Hrohowie-Tyńcu koło Pardubic. Czesi zachowując poprawność polityczną, zawarli oficjalnie partyjną przyjaźń z rosyjską jednostką wojskową, która stacjonowała w pobliżu. Zapraszano żołnierzy i oficerów z okazji różnych uroczystości. W ramach uroczystości Czesi w sposób bardzo sympatyczny obdarowywali żołnierzy rosyjskich drobnymi upominkami. Dla nas i Czechów drobny upominek miał znaczenie sympatyczne jako pamiątka i nic więcej, ale dla Rosjan to zupełnie coś innego. Jakież było ogromne zdziwienie Czechów, kiedy po czasie w sposób nieofcjalny dowiedzieli się, że po powrocie do jednostki, żołnierze zostali poddani osobistej rewizji. Zabrano im wszystkie upominki i zniszczono na ich oczach. Kiedy próbowałem wyjaśnić Czechom dlaczego tak zrobiono nie mogli uwierzyć. Wtedy jeden z zaprzyjaźnionych Czechów w tajemnicy opowiedział mi rzecz następującą. Po pierwszej wojnie światowej w Czechach była bardzo silna partia komunistyczna. Na skutek propagandy komunistów kilkadziesiąt rodzin czechosłowackich zdecydowało

się wyjechać do Związku Radzieckiego. Zorganizowali specjalny pociąg i kilkaset osób pojechało do tej „krajiny szczęśliwości”. Zamiast sympatycznego przyjęcia cały pociąg pojechał prosto do Kazachstanu. Tam ich wyładowano na pustyni i oświadczone że tu sobie pobudują domy i tu będą żyć. Szans na powrót oczywiście nie było. Nie będę powtarzał dalszej jego opowieści. Znamy to od naszych rodaków, którym udało się przeżyć i powrócić do Polski. Jedna z krewnych tego człowieka przeżyła. Z wielkim trudem uzyskała pozwolenie i teraz przyjechała do nich w odwiedziny. W to co im opowiadała nie mogli uwierzyć. Podejrzewali, że jest niespełna rozumu.

Ale wróćmy do naszej Warszawy. Jak już wspominałem, życie w zrujnowanym mieście bardzo szybko rozwijało się. Z dnia na dzień uruchamiano szkoły, kina, teatry. Na Saskiej Kępie przy ulicy Wąchockiej, w budynku zastępczym uruchomiono Liceum im. A. Mickiewicza. Liceum to miało bardzo dobrą tradycję, przed wojną była to jedna z lepszych szkół w Warszawie. Mieściło się przy ulicy Kopernika, ale w czasie powstania budynek szkoły został zburzony. Przy ulicy Wąchockiej była opuszczona prywatna willa mieszkalna, ale na początek zupełnie wystarczała. Na początku kwietnia 1944 roku poszedłem z moim ojcem do kancelarii Liceum. Dyrektorem był prof.

Wysocki, jak potem się przekonałem, bardzo lubiany przez uczniów szkoły.

-A co Ty młodzieńcze potrafisz? Położył mi dłoń na ramieniu. Oczy masz bystre, zrobimy z Ciebie mądrego człowieka.

Te jego sympatyczne słowa utkwily mi na zawsze w pamięci. Chociaż z tą mądrością nie zawsze było tak jak przepowiedział prof. Wysocki. Od poniedziałku rozpocząłem nowy etap mojej edukacji tak, niekompletnej za czasów wojny.

Widziałem, że Dyrektor odnosił się do mojego taty z dużym szacunkiem co oczywiście sprawiało mi satysfakcję. Potem dowiedziałem się, że tata przyczynił się poważnie do uruchomienia Liceum im. A. Mickiewicza po wojnie. A w czasie wakacji umożliwił zorganizowanie wypoczynku wakacyjnego dla uczniów w internacie Szkoły Rolniczej w Gołotczyźnie, która jego staraniem została wybudowana i zorganizowana dla dzieci inwalidów przed wojną. Na wypoczynku w tej szkole byłem i ja. Gmach szkoły jest imponujący. Sale wykładowe. Wielka aula. Internat, w którym mogłoby zamieszkać kilkaset uczniów. Kuchnia i sala stołowa. Wszystko to funkcjonowało przed wojną. Niemcy w czasie okupacji zorganizowali tam szkołę dla hitlerjugend. Dodatkowo wyposażyli gabinety tematyczne: fizyczny, chemiczny itp. Szkoła funkcjonowała

po niemiecku normalnie. Jak przyszła czerwona
nawała, zdemolowano wszystko. Do wielkich
sal na parterze wprowadzono konie. Gnojownica
spowodowała, że parkiet w tych salach zgnił, a
podkowy końskie zniszczyły go doszczętnie.
Szkoła nadawała się do remontu. Jednak
kilka sal było możliwych do zakwaterowania.
Uruchomiono kuchnię sale sypialne i wakacje
spędziliśmy tam wspaniale.

Po powrocie do szkoły na Saską Kępę. Po
kilku dniach zajęć przechodziłem obok sąsied-
niej klasy. Podszedł do mnie chłopiec w moim
wieku, wydawał mi się postacią znajomą, ale
w pamięci nie mogłem od razu znaleźć tej
znajomości. Zagadnął mnie.

-Czy twoi rodzice nie mieli posiadłości na
Ukrainie?

No tak! Oczywiście! Roman Suski! Ucie-
szyłem się ogromnie. Wpadliśmy sobie w ra-
miona. Nie widzieliśmy się ponad siedem lat.
Radość była duża. Odnalazłem rówieśnika
zabaw z przedwojennych lat. Okazało się, że
państwo Suscy przeżyli wojnę i powstanie
warszawskie. Przed wojną przyjeżdżali do nas na
urlop do Urszulina na Podolu. Teraz mieszkają
na Saskiej Kępie niedaleko szkoły. Odżyła stara
przyjaźń. Opowiadaniom przeżyć wojennych
nie było końca. W szkole tej poznałem bardzo
wielu kolegów. Przyjaźń z niektórymi przetrwała

do dziś. W mojej klasie a także w całej szkole uczniowie różnili się bardzo tak pod względem wieku jak i poziomu wiedzy. Najstarszy miał 22 lata a najmłodszy 13. Niektórzy przychodzili w wojskowych mundurach. Zdarzało się, że któryś przyszedł do klasy z pistoletem. Zaprzyjaźniłem się z sympatycznym kolegą. Siedzieliśmy w jednej ławce. Ze względu na śniadą cerę i czarne włosy nazywaliśmy go „Czarna Magia”. Pewnego dnia przyszła tragiczna wiadomość. Otóż Czarna Magia i dwóch jego kolegów w Śródmieściu, w jednym z zawalonych domów w piwnicy rozbrajali pocisk moździerzowy, aby wydostać z niego materiał wybuchowy. W czasie odkręcania zapalnika pocisk eksplodował. Zginął Czarna Magia i jeden z kolegów. Ich ciała były rozerwane na części. Trzeci z nich był akurat w korytarzu za zakrętem. Poza zadrapaniami nic mu się nie stało. Takich wypadków w Warszawie po wojnie było więcej. Przecież Warszawa była totalnym pobojowiskiem. Pociski, bomby, materiały wybuchowe, trotyl były wszędzie. Włączyłem się w nurt szkolnego życia. Szybko powstała drużyna harcerska. Oczywiście wstąpiłem do harcerstwa. Organizowane było ono na wzorach przedwojennych. Każda zbiórka rozpoczynała się modlitwą, a na zakończenie śpiewaliśmy:

O Panie Boże ojcie nasz,
Ty drgnienia serc harcerskich znasz,
W opiece swej nas miej...

Śpiewaliśmy piosenki, które po nie długim czasie były zakazane. Oczywiście zakazano śpiewania piosenek o powstaniu warszawskim. Teraz nie mogę się oprzeć, aby nie przytoczyć choć jednej z najczęściej śpiewanych.

Marsz Mokotowa napisany przez Mirosława Jezierskiego, melodię pamiętam do dziś.

Nie grają nam surmy bojowe,
ni werble do szturmów nie warczą,
nam przecież te noce sierpniowe
i prężne ramiona wystarczą.

Niech płynie piosenka z barykad,
wśród ulic, zaułków, ogrodów,
z chłopcami niech idzie na wypad
pod rękę przez cały Mokotów.

Refren:

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
tak w sercach gra, aż braknie tchu,
czy słońca żar, czy chłodna noc,
prowadzi nas pod ogniem z luf.
Ten pierwszy marsz, niech dzień po dniu
w poszumie drzew i sercach drży,

bez zbędnych skarg, bez próżnych słów,
to nasza krew i czyjeś łzy.

Niech wiatr ją poniesie do miasta,
jak żagiew płonąca i krwawą,
niech w górze zawiśnie na gwiazdach,
czy słyszysz płonąca Warszawo ?!

Niech zabrzmi w uliczkach znajomych,
w Alejach, gdzie bzy już nie kwitną,
gdzie w twierdze zmieniły się domy,
gdzie serca z zapалу nie stygną.

Refren:

Warszawa 15 sierpnia 1944 r.

Nie będę opisywał jak zmieniał się harcerstwo pod naciskiem socjalistycznych władz. Wszyscy to wiemy. Coraz mniej zostawało w nim zasad jakie przyświecały harcerstwu przedwojennemu.

Biuro Zarządu Głównego Związku Inwalidów Wojennych z ulicy Targowej zostało przeniesione na Saską Kępę na ulicę Estońską, po sąsiedzku niemalże z Liceum A. Mickiewicza. Ojciec został Sekretarzem Zarządu Głównego. W tym czasie Związek Inwalidów był jeszcze potężniejszą organizacją niż przed wojną. Była to organizacja poza rządowa. Ale w owym czasie

równała się randze Ministerstwa. Inwalidzi wojenni, a przecież po wojnie było ich wielu, byli bohaterami, cieszyli się przywilejami. Byli to Ci co ryzykowali życiem i przelewali krew za wolność ojczyzny. Władza komunistyczna traktowała ten związek przychylnie. /Do czasu!/ Za zasługi w organizowaniu Związku Inwalidów Wojennych po wojnie, ojciec mój został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, oraz złotą odznaką Związku Inwalidów Wojennych.

Ojciec znowu zaczął dobrze zarabiać. Miał do dyspozycji samochód osobowy i kierowcę. Umeblowaliśmy mieszkanie. Mama miała swoje ulubione pianino. Stać nas było na nowe ubrania, dobre jedzenie i dostatnie życie.

W roku 1950 uznano, że w PRL jest tak dobrze, że istnienie Związku Inwalidów jest już nie uzasadnione. Związek Inwalidów Wojennych został rozwiązany. Ojciec przeżył to strasznie. Załamało się jego dotychczasowe dzieło. Runął gmach, który budował niemal przez całe życie. Odbiło się to bardzo na jego zdrowiu. Jednak w roku 1956 Związek Inwalidów reaktywowano. Ojciec jednak do pracy w tej organizacji już nigdy nie wrócił.

Teraz dopiero z odległej perspektywy czasu mogę ocenić wiedzę, mądrość, zmysł organizacyjny, inteligencję i pracowitość mojego ojca. Żył i pracował przecież w tak trudnych,

ciężkich i niebezpiecznych czasach. Przeżył dwie straszliwe wojny. W walce o niepodległość ojczyzny w roku 1920 na froncie bolszewickim był ciężko ranny. Całe dorosłe życie mógł posługiwać się tylko lewą ręką. Ochronił rodzinę przed niebezpieczeństwami okupacji bolszewickiej po 17 września 1939 r. Uniknął wywózki na Sybir. Dzięki niemu unieśliśmy życie z apokalipsy ukraińskiego ludobójstwa. Wyprowadził rodzinę cało z Powstania Warszawskiego. Zawsze wiedział jak zapobiegać niebezpieczeństwu. W chwilach zagrażających życiu, nigdy nie okazał najmniejszej oznaki strachu ani bezradności. Pomogło to nam bardzo przetrwać chwile grozy. W najtrudniejszych czasach zaraz po wojnie zapewnił nam niemalże, luksusowe, jak na owe powojenne czasy, warunki materialne.

Wiele lat temu przeszedł na wieczny odpoczynek. Spoczął na cmentarzu wojskowym /kwatery B15-7-18/ na Powązkach w Warszawie, obok swoich rówieśników poległych w wojnie obronnej w 1920 r., wraz z którymi pod wodzą Marszałka Józefa Piłsudskiego walczył ramię w ramię przeciw nawałi bolszewickiej. Mało kto dzisiaj zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby nie oni, gdyby nie Ci bohaterowie, oraz geniusz Piłsudskiego i zwycięstwo wywalczone przez Armię Polską w wojnie z bolszewikami to

Polaków i wiele narodów środkowej Europy obowiązywałby język rosyjski a komunistyczny reżim zalałby niemalże całą Europę. Była to jedna z najważniejszych wojen w dziejach ludzkości.

Muszę tutaj wspomnieć jeszcze o jednej wielkiej bitwie, która miała ogromne znaczenie dla Europy wygranej przez Polaków pod wodzą genialnego dowódcy Króla Jana Trzeciego. Kara Mustafa przecież nie szedł na Wiedeń ze swoją armią. Wiedeń był tylko po drodze. On szedł na Rzym aby zrobić z Watykanu stajnie dla swych koni. Gdyby nie został pobity pod Wiedniem przez Polaków cała Europa nie modliła by się w kościołach lecz biłaby czołem w posadzkę w meczetach, jak to dzieje się w Konstantynopolu obecnie zwanym Istantbullem.

Ojca mojego nie ma już wśród żywych. Ale w mojej pamięci żyje. Pamiętam dokładnie jak wyglądał, jak pracował, jak się poruszał, jak śmiał się, jak żartował, jak troszczył się o swoją rodzinę, jaki był pracowity. Nigdy nie marnował wolnego czasu. Dla niego cały dzień był wypełniony pożytecznym działaniem. Pamiętam jak tłumaczył nam trudne zawiłości zjawisk życia, jak starał się abyśmy nie ucierpieli w ciężkich wojennych czasach, jak dawał przykłady odwagi w najcięższych chwilach grozy i niebezpieczeństw.



**Dom w Urszulinie zbudowany przez rodziców autora
w latach 1934-1937. Wyszadzony w powietrze przez Niemców w roku 1944.**

W roku 1947 w sierpniu przybyła do Warszawy delegacja amerykańskich architektów i urbanistów udzielając pomocy w planowanym odbudowaniu Warszawy. Jednym z członków tej delegacji był architekt Henry NCobb. Wykonał on serię zdjęć zburzonej stolicy Polski. Wybrałem z tej serii osiem charakterystycznych zdjęć, na których publikację otrzymałem pisemną zgodę ich właściciela.

Suplement do rozdziału **ILUSTRACJE.**

Amerykanin Henry N. Cobb. w roku 1947 wykonał w Warszawie serię zdjęć dokumentujących zburzoną, zrównaną przez Niemców z ziemią Warszawę po powstaniu Warszawskim. Za zgodą autora zdjęć wybrałem kilka charakterystycznych. Zdjęcia te oczywiście pokazują straszliwe zniszczenia dwumilionowej europejskiej metropolii. Jednak nie oddają rzeczywistego obrazu zniszczeń tego pięknego miasta zaraz po wojnie. Przez ponad dwa lata. Polacy już zdążyli wiele zrobić. Przedewszystkiem spychaczami przetarli ulice. Aby były w miarę przejezdne. Ja doskonale pamiętam jak te ulice wyglądały na początku roku 1945. Nie można było wśród bezmiaru gruzów odnaleźć śladu ulicy którą doskonale znałem przed wojną. Dobrze jeśli w miejscu ulicy powstał wóz gruzów. Przez który trudno było się przebić. Ja doskonale pamiętam te widoki. Pozostaną one w mojej pamięci dokąd będzie istniała moja pamięć. Nie miałem wtedy aparatu fotograficznego. Za aparat fotograficzny można było trafić do obozu w Oświęcimiu. Tak, że jeśli szanowny czytelnik będzie oglądał te zdjęcia proszę brać poprawkę, że zaraz po wojnie te miejsca były jeszcze straszniejsze i wyglądały znacznie gorzej.

Sulimir Stanisław Żuk



**Nr 5 ul. Świętokrzyska skrzyżowanie z ul. Mazowiecką. Widok w kierunku
Nowego Światu. Fot. HenryNCobb**



Nr 6 Widok w kierunku Ogrodu Krasieńskich.
Fot. HenryNCobb



Nr 12 ul. Szpitalna od ul. Przeskok do ul. Napoleona.

Fot. HenryNCobb



Nr 28 pl. Zamkowy.
Fot. HenryNCobb



Nr 35 pl. Krasieńskich.
Fot. HenryNCobb



Nr 13 pl. Napoleona „Prudential”.
Fot. HenryNCobb



Nr 15 Katedra św. Jana Chrzciciela.

Fot. HenryNCobb



Nr 17 ul. Piwna od pl. Zamkowego.
Fot. HenryNCobb

*Jak nie kochać strząskanych tych murów,
Tego miasta, co nocą odpływa,
Kiedy obie z greckiego marmuru
- i umarła Warszawa, i żywa.*



Tak z wielką miłością, a jednocześnie proroczo - pisał o Stolicy Tadeusz Gajcy, poeta pokolenia Kolumbów - naszego pokolenia. Student tajnej polonistyki, poeta, dramaturg, prozaik i krytyk literacki, ostatni redaktor „Sztuki i Narodu” Utalentowany 22-latek, żołnierz Polski Walczącej. Zginął w połowie sierpnia, wraz z innym poetą, Zdzisławem Stroińskim, w wysadzonej przez Niemców kamienicy przy ulicy Przejazd.

Epilog

Dziewiątego maja 1944 roku był piękny, słoneczny dzień. Przedpołudnie. Blask ciepłego słońca zalewał ulicę Targową. Szedłem do mojego ojca do biura. Oczywiście żadnej komunikacji jeszcze wtedy nie było. Ruch w Warszawie odbywał się tylko na piechotę. Samochody nieliczne ale w większości tylko wojskowe, od czasu do czasu pokazywały się na ulicach. Nagle gruchnęła elektryzująca wieść: koniec wojny! Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację. Ludzie oszaleli z radości. Wpadali sobie w ramiona, obejmowali się i całowali na ulicy. Wśród przechodniów było dużo żołnierzy polskich i rosyjskich. Oczywiście, każdy z bronią. Zaczęła się kanonada na wiwat.

Ale nie wszyscy przechodnie ulegali szaleńczej euforii. Przechodnie w mundurach alianckich z napisem na rękawach POLAND nie byli tak radośni. Było ich dużo, walczyli w Armii Polskiej na zachodzie i odważyli się wrócić do swojej ojczyzny. Nie wszyscy wracali. Ci z Armii Andersa, którzy przeżyli Syberię w większości nie wracali, wiedzieli co może ich tu spotkać.

Nie ulegałem spontanicznej radości. Szedłem powoli, przyglądałem się ludziom, tym którzy szaleli z radości, biednym i wynędzniałym. I tym, którzy byli smutniejsi i zamyśleni. Dla

mnie było już jasne, że mamy Polskę nie taką, o którą walczył mój ojciec. Nie taką, za którą walczyli Powstańcy Warszawscy, nie taką, za którą walczyli żołnierze polscy na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Nie taką, za którą oddawali swe życie nasi rodacy na kresach, nie taką za którą oddało życie ponad sześć milionów Polaków.

Granice Polski nie były jeszcze ustalone i podane do publicznej wiadomości. Nikt nie wiedział ile ziem będzie odebranych nam na wschodzie, a ile dodanych na zachodzie. Bałamutne komunikaty budziły poważne wątpliwości. Lwów, Tarnopol, Wilno, Grodno czy będą nasze? Nikt nie zdawał sobie sprawy ilu Polaków z naszych Kresów znajdzie się w więzieniach i na Syberii. Ilu zostanie wypędzonych z ziem i domów ojczystych. Nikt nie wyobrażał sobie, że Polska należąca do zwycięskiej koalicji będzie, aż tak strasznie przegranym krajem w tej zwycięskiej wojnie. Że obszar państwa polskiego będzie mniejszy niż przed wojną. Nie było do pomyślenia, że polscy żołnierze, którzy walczyli na wszystkich frontach świata nie będą deflować na paradzie zwycięstwa w Londynie. W Warszawie stacjonowało kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonego rosyjskiego wojska, a na terenie ziem Polski? Nikt nie wiedział ile. Po co tutaj tyle tego wojska? Z kim mieliby

walczyć? Przecież wojna się skończyła.

Nie wiedziałem co nas czeka. Koniec wojny, oczywiście wielka radość. Ale na dnie duszy krył się jakiś głęboki smutek, wielka niepewność jutrzejszego losu. Nikt się nie spodziewał że za prawdziwą niepodległość trzeba będzie jeszcze ponieść wielkie ofary i walczyć o nią bez mała pół wieku.

W tym opowiadaniu opisałem to co przeżyłem w tej strasznej wojnie. Kierowałem się maksymą: „Pamięć jest powinnością i bogactwem”.

Spis treści

Wypędzenie.....	3
Czerwona zaraza.....	66
Godzina „W”.....	70
Trylogia Sienkiewicza ratuje mi życie.....	81
Likwidacja szpitala Dzieciątka Jezus.....	89
Stanisław Ostrowski. Epitafum Warszawskie.....	98
Następni Najeźdźcy.....	115
Warszawska Głgota.....	126
Tej wiosny.....	128
Ilustracje	159
Epilog.....	170



Sulimir Stanisław Żuk urodził się w Warszawie. Druga wojna światowa zastała go na Podolu. Tam jako dziecko przeżył okupację bolszewicką i niemiecką oraz ludobójstwo ukraińskich terrorystów dokonane na bezbronnej ludności polskiej. Wgnany wraz z rodziną z ziemi swych przodków dotarł do Warszawy w kwietniu 1944 roku. W

Warszawie przeżył Powstanie Warszawskie. Po wojnie w Warszawie ukończył wyższe studia techniczne. W Warszawskiej Fabryce Pomp w ciągu dwudziestu lat pracy pełnił funkcje kierownicze, między innymi Głównego Technologa i Dyrektora ds. Produkcji. Za pracę społeczną został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. W Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie na Wydziale Handlu Zagranicznego ukończył Studium Eksportu Budownictwa. W Centrali Handlu Zagranicznego „BUDIMEX” w Warszawie na przestrzeni dwudziestu lat pracy pełnił szereg funkcji kierowniczych. Między innymi pełnomocnika do spraw finansowych w Czechosłowacji, Dyrektora Biura na rynki Czechosłowacji i Bułgarii oraz Dyrektora Delegatury „BUDIMEX” w Sofii w Bułgarii. Wyróżniony szeregiem odznaczeń za zasługi w budownictwie i handlu zagranicznym. Po przejściu na emeryturę jego pasją stała się burzliwa historia Drugiej Wojny Światowej a szczególnie Kresów Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej.